



ROK LVIII

PRZEGŁĄD KOBIECY

NR 24

WARSZAWA, 13 CZERWCA 1925 ROKU.

TREŚĆ NUMERU: Zadania higieny społecznej — *Dr. J. Budzińska-Tylicka*. Na marginesie art. „Djagnoza” — *Zofja Grzymałowska*. Mundurki szkolne — *K. S.* Książki na półkach — *Stanisława Kuszelewska*. Nieznany autograf Narcyzy Żmichowskiej p. t. „Dwoiste Życie” (c. d.) — z autografu wydała — *Zofja Szmydtowa*. Świat Kobiety (część II) — *Marja Grossek-Korycka*. Idylla na Arktyku (c. d.) — *Juljusz Wirski*. Zatrzymany zegar (powieść) c. d. — *Wanda Młuszczyńska*. Księżna Anna Jabłonowska, wojewodzina braclawska (c. d.) — *Dr. W. L.* Piękna Pamela (c. d.) — *Karolina Bielańska*. Kobieta w świecie i w domu — *Z. B.* Z książek — *N. Samotyłowa*. Dział praktyczny: Mody i roboty. Kapelusz haftowany. Kaprysy mody — *Hrabino Annie*. Z życia stolicy — *W. L.* Dokąd jechać na lato? — *M. Domańska*. Pies — *W.* Parę gier w piłkę, odpowiednich dla starszych dzieci (c. d.) — *I. Fabrycowa*. Wychów i żywienie kurcząt — *W. S.* Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Korespondencje działu praktycznego. Dodatek powieściowy „Okrety, które płyną wśród nocy...” (c. d.) — *Beatrix Harraden*. ARKUSZ WZORÓW.

ZADANIA HIGJENY SPOŁECZNEJ



Higiena jako nauka jest wiedzą stosunkowo młodą, gdyż datuje dopiero od początków XVIII w., kiedy to, prawie równocześnie w Anglii, Francji i Niemczech pojawiły się pierwsze prace naukowe z zakresu spraw zdrowotnych. W krótkce potem zaczęto zwoływać w tym celu zjazdy i kongresy międzynarodowe, wydawać specjalne pisma i książki z zakresu higieny ogólnej.

Grecja i Rzym, jeszcze w czasach starożytnych zajmowały się urządzeniami sanitarnymi, posiadając w swych miastach kanalizacje, wodociągi i kąpiele publiczne po dziś dzień wzbudzające w nas podziw, a wychowanie fizyczne stało w starożytności na wysokim poziomie, tem niemniej jednak higiena, jako wiedza, w ścisłym tego słowa znaczeniu, dopiero w początkach 19 wieku nabiera wielkiego znaczenia naukowego, praktycznego i społecznego.

Ten gwałtowny rozwój higieny w pierwszym rzędzie przypisać należy wiekopomnym odkryciom genialnego francuskiego lekarza Pasteur'a, który ukazał oczom ludzkości nowy świat wrogów, nieustannie wokoło nas istniejących i czyhających na nasze zdrowie i na nasze życie, a tym niebezpieczniejszych, bo dla gołego oka niewidzialnych. Rzeczywiście, bakterjologiczne odkrycia Pasteur'a wywołały cały przewrót w medycynie, przyrodzie i agronomii, tworząc nową erę dla higieny ogólnej i zapobiegawczej. Bo czy mówimy z punktu zdrowotnego

o powietrzu, wodzie, czy ziemi, czy o chorobach zaraźliwych, czy o odporności organizmu, czy o znaczeniu dewizy — „czystość — to zdrowie” wszędzie sprawa walki z niewidzialnymi zarazkami wysuwa się na plan pierwszy. Szkoda tylko, że zasady higieny są tak mało znane ogółowi, szkoda, że dobrze je znają tylko lekarze. Dla dobra ludzkości każdy inteligentny człowiek powinien rozumieć i umieć w życiu swem i życiu swej rodziny i swego otoczenia wytworzyć sprzyjające dla zdrowia warunki. Każdy powinien wiedzieć jak dla utrzymania zdrowia trzeba się odżywiać, jak mieszkać, jak ubierać, uczyć się, pracować i chronić się od otaczających nas zarazków; jakich używać przyjemności, by nie szkodzić organizmowi, lecz przeciwnie wzmacniać go, fizycznie rozwijać i wytwarzać odporność na zmiany atmosferyczne (zimno, gorąco, wilgoć) i na niebezpieczeństwa związane z pracą i chorobami ludzi i zwierząt.

Smutne, że o tym wszystkim wiedzą tylko lekarze — bo tylko na medycynie uczą nauki o zdrowiu, czyli higieny. Ani pedagog, który i naucza młode i starsze pokolenia, ani budowniczy który buduje nasze ciasne, źle rozplanowane pokoje; ani ksiądz, który mógłby tak doskonale swą wiedzę zużytkować dla ludu, szczególnie na wsi i w miasteczkach; ani handlowiec i urzędnik, który dusi się w zakopconym dymie papierosów, dusznym, nieodpowiednio urządzonej biurze, ani rodzice, ani

matki — powiedzmy zresztą krótko: — cała inteligencja a coś dopiero, lud pracujący, nie znają zasad zdrowia, nie umieją zapobiegać chorobom, nie umieją, lub nie chcą skierowywać swych wysiłków dla podniesienia zdrowotnej kultury odrodzonej Ojczyzny. Patrzymy: — przecież Sejm, — to przedstawicielstwo najwyższe narodu — zniósł dla oszczędności Ministerstwo zdrowia publicznego i włączył tę ważną, bardzo ważną placówkę samodzielną — do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, tworząc Generalną Dyрекcję Zdrowia, przy organach administracyjnych i policyjnych!.. Zajrzyjmy do budżetu państwowego — ile pieniędzy przeznaczyło państwo na budowę szpitali i zakładów położniczych, których jest tak mało, że kobiety rodzą w przytułkach na podłodze, a czasem — jak to widziałam w Krakowie, — leżą po dwie w jednym łóżku, — a rodzą w tych samych salach, w których odbywają się operacje, i w których przyjmują nowowstępujące. Co gorsze w wielu miasteczkach; nawet większych miastach wogóle żadnych zakładów położniczych nie mamy. Ile Sejm przeznaczył na opiekę nad sierotami, inwalidami, starcami, kalekami?

Kiedyż nasze miasta, nawet wojewódzkie! będą wszystkim miały ten prymitywny warunek zdrowia i czystości: kanalizację i wodociągi?

Kiedyż zamiast kałuży i bagien będziemy mieć dobre szosy bite i dobre drogi, niezbędne oświetlenie miast, miasteczek i wsi? Kiedyż każda wieś będzie mogła mieć tanią pomoc lekarską, wykwalifikowaną akuszerkę i dobrą studnię artezyjską? I tak dalej i tak dalej. Tak dalecy jesteśmy od sanitarnej cywilizacji zachodu! Przed nami tyle, tyle do zrobienia!

Zadania higieny są ogromne. Nauka higieny jest podzielona na cztery działy.

I dział — to higjena ogólna, która uczy o zdrowotnych warunkach otaczającego nas świata, a więc powietrza, wody, ziemi, o atmosferycznych zmianach (w stosunku do ludzkiego zdrowia).

II dział — to higjena prywatna, czyli osobnicza, uczy o zdrowotnych warunkach człowieka, jego rodziny i jego najbliższego otoczenia; tu należy higjena ciała, kobiety, dziecka, niemowlęcia, a także higjena odżywiania, mieszkania, ubioru i t.p.

III dział — to higjena publiczna, która obejmuje zdrowotne warunki miast i wsi i wogóle osiedli ludzkich, nad czem czuwać powinno państwo i samorządy, to jest gminy miejskie, lub wiejskie. Do higieny publicznej należy piecza nad zdrowiem publicznem mieszkańców miast lub wsi, zakładanie i utrzymywanie kanalizacji i wodociągów, utrzymywanie czystości ulic, wywózka śmieci i ich spalanie; czystość sklepów, targowisk, rzeźni, i piecza nad świeżością produktów spożywczych; zakładanie i utrzymywanie kąpielisk i pralni ludowych (tych ostatnich w Polsce nie posiadamy), utrzymywanie i zakładanie oświetlenia i komunikacji, zakładanie parków, skwerów, boisk i placów do gier i gimnastyki, higjena opieki nad szkołami i wreszcie cała dziedzina szpitalnictwa wraz z walką z chorobami zakaźnymi i propaganda higieny wśród najszerzych warstw ludności. Ta ostatnia dziedzina jest konieczną o ile chcemy żeby cała ludność nie tylko słuchała i spełniała rozporządzenia magistrackie w sprawie zwalczania chorób, ale żeby współpracowała w celu zwalczania chorób, brudu, przesądów i zabobonów.

IV dział — to higjena społeczna, o której pragnę tu trochę szczegółowiej mówić, gdyż, jak

sama nazwa wskazuje, wymaga ona współpracy i poparcia całego społeczeństwa. Już mówiąc powyżej o zadaniach higieny publicznej w sprawie walki z chorobami zakaźnymi — zaznaczyłam, że współdział mieszkańców jest tu konieczny. Higjena społeczna obejmuje te dziedziny naszego życia, gdzie jest bezpośrednio sprawami zdrowotnymi zainteresowanie nie tylko jednostki, nie tylko poszczególnych rodzin — lecz całej ludności danego terytorjum (miasta, miasteczka, lub wsi), a nawet całego narodu. Higienę społeczną interesują warunki higieniczne wielkich zrzeseń jak:

1) higjena szkolnictwa, która ma zabiegać o to, by młode pokolenia nie zdobywały wiedzy kosztem zdrowia, charakteru i przemęczenia, lecz kształciły się, wzrastały i rozwijały fizycznie w dobrych warunkach zdrowotnych;

2) higjena pracy, ma stać na straży, by praca, która powinna być podwaliną narodu, nie była wyzyskiwaną z uszczerbkiem zdrowia i sił ludzi zarobkujących fizycznie czy umysłowo — lecz przeciwnie, by uwzględnione było zdrowie i kulturalne potrzeby jaknajszerszych warstw ludności. To zadanie ma higjena pracy, a więc higjena fabryk, warsztatów, kopalni, różnych przedsiębiorstw, biur, zakładów. W tym też duchu idą wielkie reformy społeczne, jak ustawy o Ochronie pracy kobiet i młodocianych, ubezpieczenia społeczne, jak prawo o 8 mio godzinny dzień roboczy.

Do higieny społecznej należy walka z temi chorobami i z temi nałogami pod których ciężarem ludzkość karłowacieje, wyrodnieje i upada nie tylko fizycznie ale i moralnie — do tej dziedziny należy walka z alkoholizmem, z prostytucją i chorobami wenerycznymi, które niszczą nie tylko chorych, ale dziedzicznie przenoszą się na młode pokolenia, wywołując zwyrodnienie rasy.

Również do chorób społecznych zaliczamy jedną z największych klęsk, która pożera, niszczy i tępi ludzi w zaraniu ich młodości — to niezwykle rozpowszechnioną u nas gruźlicę (co piąty człowiek nosi jej zarodki, a dzieci w wieku szkolnym dają aż 45 proc. zagrożonych gruźlicą).

Te trzy choroby: gruźlica, choroby weneryczne i alkoholizm są to trzy przekleństwa dziedziczności, które najniewinniejsze istoty opanowują nieuleczalnymi zwyrodnieniami. Te trzy choroby nazywamy chorobami społecznymi — a wśród nich gruźlicę — nazywamy chorobą proletariacką, płynie bowiem ona z głodowania, przeludniania mieszkaniowego i nędzy potrzeb kulturalnych.

Wreszcie do zadań higieny społecznej należy walka z prostytucją.

Wśród wielu zagadnień higieny społecznej wyróżnić trzeba jeden błogi, świetlany, szlachetny dział — to opieka społeczna nad matką i dzieckiem. Zadania jej są tak wielkie, że powinny głęboko interesować ogół kobiety.

W następnym artykule szczegółowiej omówię ten dział higieny społecznej i wykażę, że jest to wielka i zaniedbana niwa, dla której dużo zrobić może współpraca organizacji społecznych a także energia i inicjatywa jednostki.

W pierwszych szeregach tej pracy stanąć musi uspołeczniona kobieta, której psychika lepiej ogarnia, umysł lepiej rozumie, a serce lepiej odczuwa wszystko to, co jest związane z macierzyństwem i niedolą dziecka.

Dr. med. J. Bużińska-Tylińska

NA MARGINESIE ART. „DIAGNOZA“*)

W artykule p. t. Diagnoza (N. 10 „Bluszczu“) p. Zawiszanka pisze: Serce Polski jest zdeзорjentowane — my nie żałujemy niewoli, lecz tęsknimy za jasnością celu, jaką ona wytwarzała; serce narodu powinno znać nieomylnie swą naczelną prawdę — źle jest, gdy jej nie zna.“

Słowa ważne i znamienne, jako wyraz nastroju obecnego pokolenia, — słowa słuszne i wymagające głębszego zastanowienia. Konkretna odpowiedź potrzebowałaby dłuższego omówienia i dyskusji, rzucam kilka tylko myśli, jako odzew.

Lata ostatnie po odzyskaniu niepodległości stawiają przed nami ogrom zadań, piętrzących się wciąż nieprzerwanie, a wymagających olbrzymiego nakładu pracy.

Idziemy po tej drodze wedle sił i możliwości. A jednak nie można oprzeć się wrażeniu, że pracy tej brak jeszcze jednolitego, wszechogarniającego planu, że nurt naszego życia zbiorowego jeszcze nie został ujęty w mocne, zwarte łożysko świadomego celu, że pozwalamy nieraz górować nad całością kształtem pracy warunkom zewnętrznym, jakie wysuwa chwila.

Dlaczego tak jest? Bo prócz odbudowy zniszczonych warsztatów pracy, prócz ulepszenia administracji, sanacji skarbu, reformy szkolnictwa itd. itd. czyli całego szeregu zadań państwowych, które są nieodzowne i konieczne, my jednocześnie musimy uzyskać świadomość myślową całości naszych dążeń wewnętrznych, zarówno jednostki, jak i całej zbiorowości. Innymi słowy musimy budować gmach naszej kultury narodowej na fundamentach przeszłości, a w obliczu nowych stosunków i ekonomicznych i socjalnych.

Praca to niezmiernie ważna i niezmiernie trudna. Nie potrafimy zaś dźwignąć się z rozchwiania wewnętrznego, nie potrafimy opanować planowo naszych wysiłków, związanych organicznie z dziedziną ducha, jeżeli dzieła odbudowy naszej kultury nie oprzemy na mocnym podłożu nauki chrześcijańskiej.

Wprowadzenie więc zasad nauki chrześcijańskiej w rdzeń naszego życia narodowego, winno stać się tą „prawdą nieomylną“ i silną, która dźwignie dusze i spręgnie wysiłki koło budowy w harmonii i ładu wewnętrznego. Anachronizmem się wydaje mówić o wartości zasad chrześcijaństwa, które większość ludów świata wyznaje prawie od 2 tysięcy lat; anachronizmem,

szczególniej w Polsce, gdzie kościoły bywają przepełnione, a wszelkie uroczystości i obchody od nabożeństw się zaczynają.

Nie łudźmy się jednak. Czujemy i uznajemy Boga w świątyniach i w sercach, — zginamy kornie kolana przed Jego ołtarzem w chwilach bólu, grozy i rozpacz, lecz jak często pozostaje to tylko w sferze uczuciowej. W życiu, gdzie rządzi myśl, wiara, by zostać czynną, winna być „nieomylną pewnością“.

My tej pewności, a więc harmonii między wiedzą, a uczuciem wszyscy jeszcze nie mamy — tak samo, jak nie mamy zastosowania zasad chrystjanizmu we wszelkich przejawach życia.

Nie mówię tu naturalnie o masach, szczególnie o masach ludowych, gdzie jest żywiołowa zgodność myśli z uczuciem i gdzie zawarte są podstawowe linje odrębnej swoistości naszej, lecz o elicie umysłowej i czynnej we wskazywaniu dróg duchowych dla naszej zbiorowości.

Tam właśnie dojście do syntezy jest palącym nakazem chwili obecnej.

Nasza epoka jest już, a stawać się będzie jeszcze wyraźniej widownią walki wzmożonej o „prawa ducha“, o stosunek świata zewnętrznego do wewnętrznych dążeń człowieka i narodu — a idąc dalej może stać się widownią walki pomiędzy bolszewizmem a chrystjanizmem.

Życie ludzkości dochodzi już do tej rubieży, że dylemat podobny, doniosłości największej może wymagać rozstrzygnięcia.

Polska zaś wskutek swoich warunków pierwsza go postawić będzie zmuszona — porażka, a nawet najmniejszy kompromis dla jej dalszego istnienia będą miały decydujące znaczenie. O miedzę mamy Rosję, gdzie życie już zabiło ducha, gdzie wedle trafnego wyrażenia jednego z publicystów —

*) Dalszy ciąg dyskusji.



„ścięto głowę podmiotu, przedmiot nim uczyniono i oto leży, rwąc ziemię świętą pazurami“.

Bolszewizm, — fanatyczna doktryna materializmu, jeżeli uzyskała możliwość zostania systemem władzy to zawdzięcza to nietylko specyficznym właściwościom duszy rosyjskiej i warunkom życia i państwowości, lecz jest także konsekwencją dotychczasowego życia ludzkości. Krzywda, ucisk, przemoc, czy były tylko w Rosji? Tam więcej, niż gdziekolwiek bądź, wywołały też reakcję wzmożonej krzywdy, spotęgowanego gwałtu i przemocy i rozpętania nienawiści, ujętej w systemat władzy, jakiej świat jeszcze nie widział. Co nas od niego obrotni? Korpusy graniczne? Trucizna wciska się wszędzie.

Więc nie pomogą, jeżeli ochronny zbiorowej nie oprzemy o nieugięty pancerz zasad chrystjanizmu, jako zasad kierowniczych naszego życia. Nienawiści tam — przeciwstawmy miłość, jako naczelną imperatyw naszych wewnętrznych stosunków, uciskowi i przemocy — wysokie poczucie sprawiedliwości, a nareszcie materialistycznemu li tylko ujmowaniu życia — pierwiastki idealizmu, jako najwyższe, niezniszczalne wartości. To nie są li tylko słowa, to jest prawda nieunikniona, wywołana nakazem chwili dziejowej. Nie obawiajmy się konsekwencji chrześcijańskiego ujęcia zadań życia państwowego, czyli możliwości ich osłabienia, przeciwnie, pracą nad dźwignięciem narodowego sumienia umocnimy własny dom wobec grożącej mu nawałnicy. Tak samo nie lękajmy się straszaka „bierności w walce ze złem“ — nam to nie grozi. — Polska w czasie całej swej historii była zawsze na pograniczu dwóch światów; czynnej myśli zachodu i kontemplacyjnej, biernej uczuciowości orjentu, — a jednak, jeżeli wchłonęła oba te pierwiastki, to przetwarzała je we własnej jaźni zbiorowej na dorobek swoistej, odrębnej kultury. Wykwitem tego jest nasza polska filozofia.

Potężny umysł Wrońskiego wywołał myśl polską z mroku ignorabimus, dochodząc do syntezy między wiedzą i uczuciem. Idą za nim Trentowski, Cieszkowski i myśl filozoficzna poezji naszych wieszczów. Przy odbudowie naszej kultury, sięgnijmy do tej skarbnicy, gdyż „każdy naród buduje swój dom z budulca swych najlepszych dusz“.

Zofja Grzymałowska.

MUNDURKI SZKOLNE



prawa mundurków szkolnych stała się znów aktualną. W niektórych okręgach rzecz już jest przesądzona i od 1-go września roku szk. 1925/26 nie będą

przyjmowani uczniowie i uczennice bez przepisowego mundurka. W winnych okręgach jest to prawdopodobnie tylko kwestią czasu.

Nie jest to pomysł nowy. System mundurowy praktykowany był już cały szereg lat przed wojną zarówno w zaborze austriackim, jak i rosyjskim. Nie brakło co prawda nigdy przeciwników tego urządzenia, którzy potrafili przytoczyć dość poważne argumenty przeciw tej instytucji. A jeśli mimo to się utrzymywała i była dość ściśle przestrzegana, istniały widocznie poważne przyczyny ku temu.

Warunki życia wojennego musiały z łatwo zrozumiałych powodów kwestję tę niejako zawiesić. Zdawało się nawet, że do mundurków już nie wrócimy. I oto znowu wypływa ona na porządek dzienny.

Gdyby mnie zapytano o teoretyczne zdanie w tej sprawie byłabym nieco w kłopotcie. Bez wątpienia — istnieje dużo argumentów przeciw. Nie bez pewnej racji jest взгляд na rozwój samodzielnego gustu i poczucia indywidualnej odrębności. Z pewnego punktu widzenia, dla pewnych skojarzeń może niektórych także razić szablonowość i monotonię. Ale już bardzo poważne są względy natury ekonomicznej: że mundurki są na ogół droższe niż zwykłe ubranie, że nie można do tego użyć, ani przygodnie w domu znajdujących się materiałów, ani przeróbki znośzonych ubrań rodziców, lub starszego rodzeństwa i t. d. Można by ich więcej przytoczyć. Nie ma bowiem rzeczy, któraby nie miała swoich pro i contra. Decydujący jest atoli stosunek tych względów, ich całość i jakość.

Po kilkuletniej próbie systemu „bezmundurowego” władze szkolne i nie tylko władze, ale prawie całe nauczycielstwo uznało, że trzeba jednak wrócić do mundurków, że jest to konieczne ze względów wychowawczych, społecznych, a nawet estetycznych.

Wojna obniżyła poziom etyczny społeczeństwa. Długich lat i wytężonej pracy potrzeba będzie, aby odbudować zniszczone wartości moralne. W takich warunkach pra-

ca wychowawcza należy do najtrudniejszych. Walczymy z trudnościami tem większemi, że sami osłabieni atmosferą rozkładu, pod naciskiem niezdrowej opinii łatwo ustępujemy, stajemy się zbyt pobłażliwi.

A jednak zważmy, że w dziele wychowania niema rzeczy wielkich i małych. To, co się laikom, ludziom nie znającym ani psychologii młodzieży, ani celu i metod wychowania, wydaje drobnostką — w tym młodym światku kształcących się charakterów może być często rzeczą pierwszorzędnego znaczenia. Żadna „drobnostka”, żaden choćby najskromniejszy środek nie może być pominięty, jeśli w czemkolwiek służy naszym celom.

Do najtrudniejszych zadań szkoły należy bezwątpienia urobienie charakteru młodzieży, rozwój uczuć etycznych. Dziś więcej niż kiedykolwiek borykamy się z trudem wyrobienia w młodzieży takich cnót, jak samodzielność, poczucie odpowiedzialności, solidarności narodowej i społecznej, honoru itd.

I oto w pracy tej mundurek uczniowski oddać nam może duże usługi. Ten zewnętrzny symbol przynależności do szkoły wyrabia właśnie w uczniach poczucie solidarności, dumy, odpowiedzialności za honor i dobro danego zakładu. Jest to czynnik wychowawczy, do którego w danej chwili z dobrym skutkiem, zawsze odwołać się można. Przeciwnicy munduru obawiają się zbytnej niwelacji, a więc pewnej zatyłki indywidualności uczniów. Sądzę, że usunięcie rywalizacji na punkcie kołnierzyków, krawatów, wstążek, kroju sukien i garniturów nie usunie współzawodnictwa wogóle, ale przeniesie je tem więcej w dziedzinę nauki i wychowania.



Nie małej wagi jest dalej znaczenie mundurka dla kontroli i opieki nad zachowaniem się młodzieży poza szkołą — na ulicy i w miejscach publicznych. Coraz więcej mówi się o potrzebie założenia stowarzyszeń obywatelskich, któreby nad tem czuwały. Sądzę, że nie tylko specjalne stowarzyszenia, ale wszyscy świadomi rzeczy obywatele powinni do tego obowiązku się poczuwać. Ułatwiałoby to w dużej mierze pracę nauczycieli.

A jeśli chodzi o najpoważniejszy argument przeciw — o względy natury materialnej, to może i tu niejedno dałoby się powiedzieć na obronę munduru.

Prawdą jest, że mundurek jest drogi. Ale czy ta okoliczność przykra nie ma przypadkiem także pewnej strony dodatniej? Może się to właśnie stać jeszcze jednym powodem i utrzymywać w porządku, a więc rozwijać u młodzieży zamiłowanie czystości i oszczędności. Druga strona dodatnia. Mundur jest strojem honorowym, może więc być użyty do wszelkich występów. Nie trzeba wobec tego osobnych ubrań uroczystych, odświętnych. Stanowi to wielką oszczędność, która pokryje jego wyższe koszty.

A w końcu względ natury estetycznej i moralnej. Młodzież w mundurkach wygląda o wiele schludniej i milej, aniżeli w pstrokaciźnie niesmacznych nieraz gustów, barw i krojów — a widok takiej zwartej, jednolitej rzeszy budzi radosne uczucie siły i pewności nie tylko w otoczeniu, ale i w niej samej.

Słów kilka jeszcze o umundurowaniu dziewcząt. Wbrew powszechnemu mniemaniu twierdzą, że jest to sprawa o wiele ważniejsza, niż umundurowanie chłopców.

Nie chcę badać w tej chwili, kto jest temu winien, że większość dzisiejszych uczennic wygląda wprost niesmacznie. Śmiesznie, bezwstydnie. Winne jest całe otoczenie. Winne są w pierwszym rzędzie matki, które, same zatraciwszy poczucie smaku i przyzwoitości, mimo swoich poważnych nieraz lat nie wstydzą się nosić sukienek po kolana, ażurowych cielistych pończoch, głębokich dekolatów, utlenionych włosów, barwików, szminki i t. d. Przykład matek, ciotek, kuzynek działa na młode dziewczęta. Nie brak zresztą czynnego poparcia i zachęty.

Winne są także zarządy szkoły i grona nauczycielskie, że bezsilnie i biernie patrzą na smutny obraz młodocianej uczenicy, przedzierżgniętej w najnowszy pokroju damę z całym aparatem loczków, barwików, świecidełek, jedwabnych pończoszek, lakierowych pantofli i t. p. niestosownych cudactw.

Doprawdy, niesmak ogarnia i smu-

tek na widok dzisiejszej uczenicy, jej zeszepeczonej krasie młodzieńczej i zmanierowanej duszy! Przedwcześnie rozwinięta chęć strojenia się zwracać musi jej myśli i zainteresowania w niepożądanym kierunku, rozwijać rozmaite skłonności, niekoniecznie dodatnie ze szkodą dla nauki szkolnej, a nawet — co gorsza dla rozwoju jej charakteru. Dlatego to tyle pustych

dziewcząt, dla których nauka jest tylko pewnym rodzajem kokieteryj czy sportu bez poczucia celu i odpowiedzialności — zapełnia nasze gimnazja i uniwersytety.

Tylko mundurek szkolny — naturalnie wygodny i estetyczny — i rozumne przepisy mogą wpłynąć na i uzdrowienie tych stosunków.

K. S.

KSIĄŻKI NA PÓŁKACH

Wrażenia z międzynarodowej wystawy książki we Florencji.

(Koresp. wł. „Bluszczu”)



Wojciecie — patetyczne. Rozległy plac, przecięty barwami flag kilkunastu narodów. Kamienny taras, ujęty w półkole lśniących, krągło strzyżonych drzewek, strojnych żółtymi gałkami pomarańcz. Wyżej obszerny, zwirowany podwórzec, obstawiony, niby strażą, szeregiem przepysznych azalij, splonionych — zaiste — wszystkimi rumieńcami świata. Różowość ich jest morelowa, amarantowa, ognista, szkarłatna, — puszysta. Zapomnieć można, że się weszło do królestwa książki. Słupy kolorów przesłoniły na chwilę wyciągnięte po obu stronach podwórzca brzydkie pawilony. Ale już przypomina się i narzuca pałac centralny wyrzytem na frontonie hasłem: *Per arte vita nostrum*. Więc już nie widać azalij — i kończy się patos.

Prawy bok podwórzca: pawilon international, dalej osobny: Francja. Lewa strona: instytut geograficzny włoski. Za nim, oko w oko z Francją — Niemcy. Środkowy, wielki gmach zajęli gospodarze — Włosi, ustąpiwszy obok siebie godne miejsca: Anglii, Rumunii i Polsce.

W małym international'u, równie humorystycznym, jak znamiennym trafem, po kilka skromnych półeczek zajęły obok siebie: Stany Zjednoczone, Jugosławia, Czechy, Szwajcaria (niemiecka i francuska), Meksyk oraz — Sjam. Niewielki lecz wyszukany i wymuskany kącik zappełnia twór osobliwy: Żydowskie Towarzystwo Wydawnicze we Florencji.

Zdawałoby się mogło, że na „wystawie książki” widać poprostu szeregi wytwornych, ukwieconych sal, pełnych wydawnictw. Tylko

w każdej sali książki będą w innym języku.

No, i rzecz prosta, tu brzydsze, ówdzie ładniejsze, tu więcej, tam mniej.

Tymczasem nie. A raczej nie tylko.

Zgromadzenie książek na półkach, ich ustawienie, podział, oprawa, ozdobienie sali sposób rzucenia się bieżącej publiczności, charakteryzuje dobitnie zespół rąk, który tego dokonał, odbija charakter narodowy niby najwyrazistsze zwierciadło twarzy nad nim schyloną.

Oto Czesi: Wyłącznie wystawa okładek. Jubilerstwo intrologatorskie skóry, barwy, tłoczenia, złożenia. Dosłownie ani jednej litery. Nawet nie widać tytułów, można je co najwyżej odszukać. Co gorzej, widać pudełka, teczki, zakładki, cały sklep z galanterją skórzaną. Nie mogli pochwalić się zbytnio literaturą, nie mogli przecież nie pochwalić się niczem...

Jugosławia: półki wydawnicze mizerne. Oryginalności nader mało. Przeważnie przekłady. Z polskiego Sieroszewski, Konopnicka. Z rosyjskiego — bez liku. Dostojewski, Tołstoj, Gorkij. Okładki papierowe, najzwyczajniejsze. Nietylko jeszcze nie dyskretne, ale nawet jeszcze nie jaskrawe. Półki mówią: „Trudno. Trudno. Robi się, co można. Nie od razu Kraków... Ale za to jesteśmy, przyjechaliliśmy, przywieźliśmy ze sobą nasz *fait accompli*. Róbcie z tem, co chcecie”.

Meksyk: krajobrazy, krajobrazy, krajobrazy... gdzieś gdzieś zlekka pokropione rosą książeczek. (Przeważnie dla młodzieży).

Sjam. Niewielki, elegancki kącik. Ale nic nie rozumiem.

Dalej „Casa editrice Israel, Firenze”. — Kilkanaście książek o pa-

tetycznych tytułach na okładkach aż przekwitających w swym wyrafinowanym (czy wyrachowanym) estetyzmie. „Comment j'ai trouvé mon ame juive” i t. d.

Wreszcie U. S. A. — dwie surowe, brzydkie półki, ciężkie od statystyki i wykresów. Jakiś konsul czy *envoyé* wysypał na nie całą zawartość swego dyplomatycznego biurka. Na okrasę dorzucił też kilka przeslicznych ilustracji, wyciętych z pogodnych powieści, dozwolonych jego młodej i zapewne równie przeslicznej córce.

U. S. A. nie fatygowały się transportowaniem przez ocean całego magazynu *magazi'nów*. Po co? To nie ich business. Chwalić się książkami? Dzieciństwo! Jak babcia Europa zechce złota, to bez tego trafi...

Szwajcaria. Niemiecka i francuska w jednym pokoju. Więcej niż zabawne sąsiedztwo. Wydawnictwa genewskie (z francuską krwią w żyłach i takąż farbą na czcionkach) pouczają górnice: „Ce que tout le monde cherche”, „Le bien suprême”, „Prejugés d'hier — verités de demain”, „La victoire sur et par la souffrance”. Okładki skromne, skromnością nie wyszukaną, lecz raczej zakonną.

Wydawnictwa z Zurichu zagadują za to od razu „echt deutsch”. „Wie Edward Bom Amerikaner wurde?” — prześmiewa się ceglata gęba z szafirowej okładki — „Mount Everest Angriff 1922” — chwali się i wyszczególnia inna. Pozatem — podręczniki mechaniki i trochę powieści w stylu „Würstchen und Bier”.

Zato bajki! Ach, bajki. Andersen — Rackham! Cuda poezji, rozmarzenia, wyrazu. Jakby na przekór, jakby wbrew, jakby własnie dlatego, że „Edward Bom Amerikaner wurde”. Jeśli kto posiada w każdej książce „Le bien suprême” — obejdzie się bez Rack-

hamów, ale jeśli pozostał już tylko Edward Bom, to w żaden sposób nie można...

Na tem mały international wy-czerpany.

Dalej wgłęb osobny rozległy pawilon zajęła Francja: pierwsze wrażenie: uśmiechnięty wykwiut paryski. Ściany i kolumny barwy heljotropu (naturalnie) w soczyste poziomkowe bryzgi. Pękate rododendrony nie zasłaniają bogatych półek, ani wzywających (nie wyzywających) obrazków. Miękką, szara plecionka dyskretnie wyścieła podłogę.

Tyle spojrzenie pierwsze. Ale już drugie widzi rzecz znamienniejszą: błyskający na wykwiut niby skry na jedwabiu, jedyny w swoim rodzaju esprit gaulois. Jakże bo precyzyjny jest podział książek. Jak pewnie, celnie, nieomylnie przemawia ich zgrupowanie! Płaskie, otwarte półki w półkolistym pawilonie widoczne wszystkie odrazu. Nad każdą wyraźny napis: geographie, sociologie, droit, philosophie, medicine, romance, science, literature generale, technologie, histoire, pedagogie, classique, musique, musicologie, livres de luxe. Odrazu widać, czego, ile i jak wydano. Tytuły i autorzy wpadają w oczy dyskretnym złotem na wyprostowanych przed widzem szeregach grzbietów.

Puste miejsca na półkach wskazują, co najlepiej poszło (naturalnie powieści). Żadnych przewodników, objaśnień, a przecież każdy odrazu wszystko rozumie. „A jeśli kto chce dłuższą chwilę

pozostać z nami — zdają się mówić półki — to prosimy bardzo, możemy przejść do szczegółów: Oto obrazki, ilustracje, okładki, druki luksusowe...”

Owym drukom luksusowym należy się osobny bukiet superlatywów. Dantego Vita nuova lub Alfreda de Vigny: Eloie są arcydziełami wydawców i malarzy nie mniejszymi niż autorów. „Kwiatki świętego Franciszka”, rozsypane po nieskazitelnej kremowej skórze dużej spokojnej książki, nie ustępują w świeżości i barwie najwyszukańszemu motywom jedwabnych kobierczyków perskich. Wielkie, czerpane, albumowe karty. Księgi Dżungli rozwieszane szlakami na ścianach, są najpiękniejszym pomysłem i najbardziej zdumiewającą realizacją, jaką zdarzyło mi się widzieć w dziedzinie wydawniczej. Clo u wystawy. Poza tem w pawilonie francuskim tłumy ciekawych stoją przed cyklem rysunków zaitytułowanych L'eltat, aż zachwanych w wywrotowości pomysłu i aż ironicznych w spokoju wykonania.

Pawilon niemiecki: (Zaleca się oglądać bezpośrednio po francuskim)!

Labirynt salek, przeciętych kolumnadą. Sufit — festony z białego tiulu. Podłoga — szorstka kanwa ersatz-plótna.

Ogromny, biały rododendron kwitnie „monumentalnie” ponad fotelikami, zgrupowanymi „gemütlich”. Książki „na płask” — łopatą do głowy. Tuż przy wejściu ogromne kodeksy praw, obciążnię-

te w uroczystą białosć cielejącej skóry.

Zgrupowanie półek nie według treści książek, lecz według firm wydawniczych wszystkich miast niemieckich. Czyli nie: „czytajcie nasze myśli”, lecz: „podziwajcie nasz dorobek narodowy”.

Cóż wydają pracownicy, a liczni wydawcy? Przeważnie „dzieła” w rodzaju: „Das Tier in der Religion” albo „Die Geschichte der Porcelanmanufactur”.

Żadnego polotu, żadnej śmiesznej syntezy. Ani jednego wydawnictwa w rodzaju uduchowionych ksiąg genewskich, wyteżonych w przyszłość, ani jednej chociażby broszury o zuchwałym oddechu paryskim, aż szumiącym uroczą teraźniejszością.

Za to porządku — starczyłoby dla wszystkich narodów! Przeżwanie, rozdrabnianie, nie kończąca się nigdy analiza. Wykłęto tu książkę wydaną swobodnie, dla samego faktu jej posiadania, dla umajenia życia. W zasobnych szafach pracowitych wydawców — po dwie, trzy powieści, przeważnie o płaskich tytułach i ordynarnych okładkach. (Raczej wolno błaznować w życiu, niż pić je swobodnie i po prostu).

Wychodząc znużony, jak po ciężkim wykładzie i trochę jednak oszołomiony bogactwem, widz nie jest przecież ani zdobyty, ani zagitowany. Wie natomiast dokumentnie i wiedzieć będzie na całe życie, że Niemcy mają dużo miast, w każdym zaś mieście wielu pracowitych wydawców...

(c. d. n.)

Stanisława Kuszelewska.

Nieznany autograf Narcyzy Żmichowskiej p. t. „Dwoiste Życie”

Podajemy epilog powieści, poprzedzony listem Białej Róży do Autorki. List ten zachował się w autografie jako fragment, który wskazuje na brak kilku przynajmniej zdań początkowych.

...,zdarzeń i kształtów obecnego przejścia ułatwić. — Ciebie, autorkę przypomniałam sobie wtedy. — Posyłam ci najwierniejszy mój degerotyp — świstki papieru, na których zapisałam wszystko, co mi się śniło, co widziałam i czego nie widziałam, co było i nie było poza mną, we mnie i przy mnie. — Ułóż to w powieść, nadaj temu

estetyczne zaokrąglenie, słowem, przygotuj jak do druku. — Jeśli pierwszej umrę od ciebie, to wydrukujesz wszystko. — Może jako stary szpargał w lat kilkadziesiąt, gdy znowu żyć będę, wpadnie mi twoja książeczka do ręki, przeczytam ją, a choć się nie domyszę zupełnie, jednak zajmę się nią i nauczę więcej, niż inną, daleko rozsądniejszą rzeczą. — Jeśli byś zaś osądziła kiedykolwiek, że proszę mojej zadosyć uczynić nie będziesz w stanie, opieczetuj cały ten zbiór szaleństw, niedorzeczności — czasem pocziwych chęci, a zawsze na niczem spełnionych zamiarów

i odeślij wszystko razem pod adresem Maurycego. Jest to daleki nasz krewny, jedyny w rodzinie i drużynie znajomy człowiek, któremu się przecież byle jakie pod tym względem rozporządzenie dać odważy. Pocziwy chłopiec! zdziwi on się niemało, jeśli mu wykonawcą mej woli ostatniej być przyjdzie. — Zdziwi jeszcze więcej, gdy imię swoje na pierwszych zaraz kartkach wyczyta.

Zostawiłam je niezmiennem przez jakąś dziecinną pustotę, nawpół ze złośliwością, nawpół z rozrzewnieniem pomieszana. — Jak też on gniewać się będzie na swoją nie-

domyślność! Jak ucieszenie sam dla siebie poważną stanie się osobą, gdy się dowie, że był przedmiotem tylu marzeń bogatej swojej kuzynki — a jednak nie pochwali się przed nikim, tajemnicy wiernie dochowa, rozporządzeń ściśle trzymać się będzie, gdyż w gruncie dobre to jest i pełne prostoty serce. — O innych nie mogłabym z równą śmiałością wyzdecyzyjować takiego sądu — przyodziłam ich też w pseudonimy.

Zawsze jednak zdaje mi się, że bezpieczniejszem dla mnie, może nawet korzystniejszym dla nich się okaże, gdy im autorskiej użyję ozdoby. — Drobne przydatki treści nie odmieniają — mnie zaś o treść chodzi jedynie — o prawdę mej osobistości, która w następstwie życia przeobrażeniu ma za tło rozwinięcia, za pomoc i pamiętkę mi służyć. — Teraz jeszcze słów kilka. — Ciekawą jesteś Pani bezwątpienia, dlaczego dziś już odsyłam Ci papiery moje? Powieść jakąś, złe zaczęta i nie dokończoną. — Oto dlatego, moja droga, bo mię do wód zagranicznych wywożą. — Z Marjenbadu mamy jechać do Włoch — z Włoch do Paryża, w Paryżu może chęć zwiedzenia Angli nam przyjdzie.

Wszystko to razem dwa lub trzy lata czasu zabierze — rozstaniemy się przeto więcej, niżesmy kiedykolwiek w życiu naszym rozstały — my, którym jednak raz tylko w balowem zgromadzeniu los się spotkać dozwolił — ale tutaj miejscowość nas łączyła — tam wszystko rozdzieli.

Otóż, czy śmierć, czy rozdział taki, to na jedno wyjdzie, zawsze pilnie i spokojnie rozpatrzyć się trzeba. — Nie chciałabym zosta-

wić w domu moich foljałów, nie chciałabym też wozić się z niemi po całej Europie — ty im najspokojniejszego masz udzielić schronienia — dotychczas nikomu o listach moich żadnej nie uczyniłaś wzmianki — pewną więc być mogę, że i względem tych papierów zaufania mego nie nadużyjesz, a muszę ci powiedzieć, że zaufanie, to najlepszy wyrób serca mego — uboga w miłość nic więcej dać ci nie mogłam.

B. R.

Dar Leokadi, Białej Róży, aż do tej pory, to jest przez pięć lat blisko, sumiennie przechowywałam. W całym tym przeciągu czasu żadna osobista nie przyszła mi od niej wiadomość. — Na trzeci czy też drugi rok wyczytałam z kurjerka szumne o jej zaślubinach z jakimś węgierskim magnatem doniesienie. Aż nareszcie niezbyt dawno ktoś, z Wiednia wracający, powiedział przy mnie, że umarła wkrótce po pierwszej słabości swojej. — Zaczęłam się wypytywać z szczerą troskliwością o bliższe jej zamężcia i śmierci szczegóły, lecz mi nie najkorzystniejszych udzielił. Magnat był stary i brzydki — zaziębienie po balu pierwszym rozwiniętych gwałtownie suchot powodem — smutno mi się zrobiło. — Istotnie zdawałoby się mogło, że jakiś niecofnięty wyrok przeznaczenia biedne serce tej kobiety na wieczną próżnię skazał, bo wtenczas nawet, gdy sama konieczność ludzkiej natury miała jej wreszcie dać coś do ukochania na ziemi, martwa ręka sięgnęła po nią — i Bóg powiedział — „nie będzie kochała“.

A gdzież jest władza sądu nad nieszczęściem takim? ja w mem

sercu nie uznaję jej wcale. — Od czasu do czasu zamarzą mi się dziwne Leokadi przypuszczenia — myślę, czy też naprawdę życie jej z nieodgadnionego ciągu chwilowym wyjątkiem — czy ona tu nie wróci kiedy po część swoją miłości pracy — czy nam się z zaciągniętych w społeczeństwie długów hojniejszym nie wypłaci datkiem. Na te wszystkie zapytania stanowczej sobie nie dałam odpowiedzi. Zostawiam to wolniejszemu chwilom i spokojniejszej głowie — mojej lub cudzej — mniejsza o to.

A teraz stosując się do życzenia w ostatnim liście wyrażonego, ogłaszam drukiem złożone u mnie pisma Leokadi. — Nie poprawiałam ich wcale — bo najpierw czasu nie mam, a potem są rzeczy tak błahe i osobiste, że im koniecznie trzeba cechę prawdziwości, ich niepoprawność starannie zachować właśnie. — Co zaś do ubezpieczenia tajemnicy — zupełnie zbyteczną osądziłam to rzeczą. — Biała Róża dość zrećnie siebie i drugich wnieprzejrane owinęła osłoną, a choćby też gdzieś zdradziła się nawet, jeszczeby jej wyjawieniem nie groziło żadnem — bo te osoby, między którymi żyła i które najłatwiej mogłyby ją z różnych stosunków wysledzić — zazwyczaj polskich książek nie czytują nigdy.

Zastrzegam sobie jednak na wszelki przypadek, aby ten, co się prawdy domyśli, próżną gadatliwością spokoju umarłej nie mieszał, a ten, co się nie domyśli, żeby sobie fałszywych wniosków i przystosowań oszczędził. — Ach! o to właśnie jak najmocniej upraszam“.

Z autografu wydała

(D. c n)

Z. Szmydtowa

MARJA GROSSEK-KORYCKA

F E L J E T O N

ŚWIAT KOBIECY

CZĘŚĆ II.

2

— Ja długo, długo nie chciałam wyjść za Józia.. przestraszała mię zbyt wielka różnica naszych pozycji...

— Widzę — zauważyła sarkastycznie — że miewasz szlachetne popędy i wzniosłe myśli! — (a wysoko, wysoko brwi podniesione dopowiadały: szkoda tylko, że ich nie wykonywasz).

— Kochałam! — szepnęła zwieszając głowę.

Tyle w tem było świętej prostoty, że byłaby rozbroiła kata...

— Miłość to poświęcenie — moja pani — przystąpmy jednak do rzeczy. Chciałam cię tylko poinformować, że całego tego majątku ja jestem właścicielką — póki ja żyję, wszystko jest moje. Nie ja tu

u kogoś mieszkam, tylko ktoś mieszka u mnie — więc niech sobie nie wyobraża, że nauka gospodarstwa zaprowadzi go do panowania nad Topolówką.

I roześmiała się tym swoim sztucznym, przykrym śmiechem, który miał oznaczać: „jesteś zdemaskowana“.

Kto kiedykolwiek żył życiem ukraińskiego dworu, niech wspomni, jaką w nim rolę odgrywały „dzwonki” — gdy je ktoś pierwszy, nadstawiający pod wiatr ucho, pochwycił w oddali i o nich obwieścił. Dzwonki przyczepiało się koniom do drogi — tętnienie ich zwiastowało, że ktoś jedzie! — tym niezmierzonym, pustym stepem jedzie „do nas”. — Dzwonek zrazu jęczał tak słabo!... rzekłbyś, że jest majaczeniem siniego horyzontu, złudą słuchu, wydolikaczonego przez ciszę... ale co raz, co raz jaśniejszy biegł powietrzem.. to zaprzepaszczał się na chwilę gdzieś w jarach i milknął — to wyskakiwał głośniejszy wciąż i bliższy. A we dworze każdy siedł do swego pokoju, doprowadził osobę swoją do porządku, każdy w nadziei, że to jest ktoś do niego...

Wesoła chwila — powóz zajeżdża przed ganek — konie parskają, pobrzękując dzwonekami — psy ujadają i skomlą — głośnie okrzyki, donośne rozkazy — głośnie śmiechy i pocałunki...

Z powozu wyskoczyły dwie młode panny Hela i Fela, cioteczne pana Józefa, podobne do siebie jak dwie jagody, obie czarne, hoże i rosłe. Rzuciły się na Basię z wielkimi serdecznościami. Odżałować nie mogły, że ich w domu nie zastała poślubna wizyta Józia z żoną. — Były wtenczas w Zakopanem. I zaczęły trzepać o Zakopanem, zapomniawszy, o czym mówiły poprzednio. — Ach o Basil., zwróciły się znów do niej.

— Bośmy tyle o tobie słyszały... żeś taka śliczna!... że grasz tak cudownie!...

— Chodź! zagraj...

— Może poczekamy aż po obiedzie?

— Nie — nie! — w tej chwili... umieram z ciekawości, żeby cię usłyszeć.

— Chodź, kochanko!

Usadziły Basię przy fortepianie — a same zajęły miejsce na kanapie obok ciotki! — Ale gdy Basia grać zaczęła i zatopila się całkiem w wykonaniu jakiegoś technicznie trudnego utworu Szumana — na paluszkach... najpierw jedna, potem druga wyniosły się. — Ciotka za nimi. Basia grała z ogromnem zajęciem, ani przypuszczając, że audytorjum jej zwało... A one pokazując ją sobie oczami szeptały we trzy w sąsiednim gabinecie.

— Czy to podobna, ciociu, żeby to były jej własne włosy?! — przecież to tego cała fura!!

— Dużobym dała za zdemaskowanie, — gdyby ktoś był tak zręczny... żeby ten wstrętny kok przypinany odpadł na ziemię, jak obcięty kołtun, przy wszystkich.

— O ciotuchno! już rozumiemy! rozumiemy!...

I spiskowcy wrócili do salonu. Ciotka na swoją kanapę — Hela i Fela z obu stron wzięły Basię w obroty tak gwałtownych serdeczności, że dalsza gra stała się niemożliwą. A tymczasem to jedna, to druga ręka wyciągała ze spłotów po szpilce... „Co to jest?” krzyknęła Basia, zrywając się i chwytając za głowę... Olbrzymia masa włosów runęła wtenczas, jak woda, gdy jej otwarto tamę — i po ramionach, po plecach spłynęła aż na posadzkę złotym płaszczem lekko sfalowanym, który ją całą okrył.

Pan Władysław, specjalnie na ten moment do salonu sprowadzony, padł na kolana, podnosząc w górę obie ręce, jak chłopci podczas podniesienia... co jeszcze zaogniło humory...

„Jest się też czem egzaltować! — zasyczała stara Topolska — takie włosy mają tylko suchotnice.

O jakże ich nienawidziła! — jak nienawidziła!! w te złote sieci uwikłało się serce jej syna...

Basia w swoim pokoju szlochała, rzuciwszy się na kanapę: Matka mnie prześladuje... matka mnie niecierpi!”

Stosunek tak postawiony odrzucał, musiał już tylko w dalszym ciągu staczać się po równi pochyłej... Takie „rozmówki” były codziennym ogróczykiem młodej panny. Ale przy obcych, zwłaszcza też przy synu, matka wchodziła wraz na zawsze przyjętą rolę. Jej okrągłe, wylupiate oczy stawały się słodkie, jak sacharyna. Spieszczone nazwiska, głaskanie po włosach, obejmowanie w pól, trzymanie za rękę, przesadne pochwały, pocałunki w czoło. „Które nie straciło jeszcze białości dziewiczej.” Rzekłbyś, że matka z synem zakochana jest w synowej.

A synowa zdjęta nieprzewzycieżonym wstrętem ku takiej przewrotności i takiemu fałszowi, sztywniała jak automat — zimna i nieprzystępna... Więc też traciła coraz bardziej sympatię galerji. Całe sąsiedztwo ubolewało nad starą, że „tyle serca z jej strony

rozbija się o jakiś dziwnie twardy i zimny charakter młodej.”

Ach, tak jest zawsze: ofiara wygląda na kata — kat na ofiarę.

Z młodą doszło do tego, że twarz świekry stała się dla niej symonim cierpienia i działała na nią deprymująco — jak wzrok grzechotnika urzeka gazellę. Była to dla niej głowa Gorgony. Wystarczało jej posłyszeć z daleka ten głos nosowy... aby zniknął z twarzy blady uśmiech, plątał się język, biegłe palce nie trafiały w klawisze, wysuwał się z nich nóż i wi-delec: odchodziła chęć do jedzenia z trzęsących się rąk leciało na ziemię, co się w nich pod ten czas znalazło.

„Co jej jest?!” — co jej takiego jest?!” — odgadnąć nie mógł mąż stroskany. Zaczął przypuszczać najfantastyczniejsze powody: może go nie kocha?... może żałuje, że za niego wyszła?... Metodyczna obserwacja byłaby go po nitce doprowadziła do klębka — ale czasu na nią nie miał — za mało przebywał w domu, pochłonięty wielkimi interesami wielkiego majątku.

Raz wreszcie — jakoś zimową porą — gdy powrócił po dłuższej nieobecności, jakby go kto nożem pchnął w serce na jej widok. Była tak zmieniona: zielono-biała — oczy głęboko wpadnięte, podsiniałe. Porwał ją na ręce, zaniósł do swego gabinetu i błagał na klęczkach „powiedz, co ci jest”.

Z zaciśniętymi ustami i powiekami, jak trupek, zamknięta w sobie, milczała... W sercu jej toczyła się walka: „jak ja mogę klócić matkę z synem? jak ja mogę odbierać jej serce synowskie?” — A Józefa ogarniała rozpacz i pasja: to uporczywe milczenie było dla niego wskazówką, że tu się dzieje coś niebywałego?... Twarz jego przybrała tę maskę żelaznej woli, jaka występowała tak często u jego matki. „Mów! — zawołał strasznym głosem — zaklinam aie na krzyż, mów, jak na świętej spowiedzi... jeżeli nie chcesz, żebym sobie w łeb palnął!” Znała jego gwałtowność... nie było co robić! — udawać nie umiała, wykręcać się nie potrafiła, opierać mu się dłużej było niepodobieństwem, wyznała więc: że „matka tak strasznie mi dokucza! matka mnie nienawidzi.”

Odepchnął ją od siebie! „Kobieto — rzekł — nie powtarzaj mi tego drugi raz, bo ci na całe życie przestanę wierzyć — matka moja jest aniołem!”

Basia uśmiechnęła się uśmiechem męczennic: ucieszyła się, że nie uwierzył... (c. d. n.)



J U L J U S Z W I R S K I

2

IDYLLA NA ARKTYKU



Było to wprost potworne. Noc była cicha, rozśpiewana jedynie fioletowym refleksem śniegów i złotą gęźbą gwiazd, a w jego duszy szalał orkan i był najkrwawsze stanze wiekuiwego cierpienia. Wpatrywał się wtenczas w tę szalejącą otchłań i z bolesną ciekawością podsłuchiwał akcenty jej wściekłych protestów. Wiedział, że jest na całym świecie sam i że w tej pustce zupełnej będzie całkowitem i wyłącznym na wieki całe zdarzeniem opuszczenia. Wmyślał się godzinami całemi w pojęcie czasu i przestrzeni, początku i końca, istoty swojej i istoty innych. Długa i absolutna samotność, nieustanna konieczność polegania wyłącznie na własnych siłach, zarówno fizycznych jak umysłowych sprawiły, że stał się myślicielem, typu idealistów subiektywnych. — Wszystko jest li tylko wyobrażeniem i póty tego, póki mnie — zdecydował kiedyś. W ten sposób poczuł nagle, że jest jedynym centrum świata, osią wszechbytu, rzeczą główną i dla siebie całkowicie skończoną. To go miało przekonać i uspokoić, cóż kiedy nie przekonało i nie uspokoiło śmiertelnego wroga, mającego siedlisko w własnym sercu, — zabójczej, zbuntowanej, czającej się na każdą myśl — tęsknoty.

Śnieg w pasie przybiegunowym podczas nocy zimowych świeci ciemnym granatem, lub miedzianozieloną poświatą. Wytwarza to nastrój jakiegoś zakłętą pałacu, którego ściany tworzą skaliste i lodem pokryte brzegi cieśniny i skały lodowe dookoła podobne do skał malachitu, zaś sufit jest z ciemno-aksamitnej kopuły nieba, nabijanej złotymi ćwiekami gwiazd. To wrażenie zamkniętej w sobie i odgródzonej od reszty świata olbrzymiej przestrzeni powiększa poczucie samotności. Myśli, rzucane na jej pastwę, udają się wtenczas nieodparcie na bezkresne przestrzenie najfantastyczniejszego marzenia. Tworzą się sytuacje legendarne, bajki cudowne o szczęściu, sny czarodziejskie o rzeczach, jakby nie z tego świata. Piotr czuł się panem całego tego zakątka, a jednocześnie jego niewolnikiem, urzeczonym przez niesamowite pięk-

no przyrody. Pragnął całą duszą końca długiej, polarnej nocy, podczas której rzeczywistość zanikała w fantastycznych wzrokach marzenia. Pragnął powrotu późnej wiosny, kiedy to śniegi, lody, woda w zatoce grają wszystkimi kolorami tęczy, a z pod topniejącego śniegu ukazują się żółtawo-złote porosty i fioletowe saxifragesy. Zwłaszcza ziemia pokryta temi ostatnimi, tak zwanymi u nas łomikamieniami, których drobne fioletowe kwiatuszki przypominały nasze fiołki, napałała go bolesną, do głębi przejmującą radością. Ich niebieskawo-fiołkowy odcień przypominał mu pewne zdarzenie o złoto płowych włosach i głębokich oczach; zdarzenie, co miało małe, drobne ręce, pociągnięte siecią delikatnych, niebieskich żyłek i dziwnie umarłe serce... Tyle już lat, dobry Boże! — a zawsze, gdy ruszały pierwsze lody biegł na miejsce wzniesione i wypatrywał drobnych, karłowatych roślinek. — Ziemia tu kwitnie jej oczami — myślał z męką, co wystawiała krwawy pysk, gotowa kąsać o każdej chwili dnia i nocy. O, jakże kochał tę wiosnę północy i jej fiołkowy cud saxifragosów. I jak do głębi nienawidził swej słabości, która nawet wśród lodów północy nie pozwoiliła mu się otrząsnąć z urocznego czaru owej dziewczyny, utkanej raczej z marzenia i snów o szczęściu, niż istniejącej rzeczywistości.

Na tle ciemnozielonych, malachitowych brył lodu i szafirowych śniegów marzył, że idzie oto ku niemu powiewna i lekka, jak senna wizja po czarodziejskim kobiercu duszy, idzie w złotej gęźbie gwiazd, w szmaragdowych refleksach lodów od wielu, wielu lat i dojść nie może. Napróżno wyciągają się mocarne, śmiertelną tęsknotą udęczone ramiona, daremnie usta, palone żarem nieugaszoną, marzą ochłodę w różowych konchach słodkich, zlekka wilgotnawych dłoni. Przestrzeń oszalała widocznie i rośnie, rośnie, rozciąga się wrzecz i wzduż, wiruje niawidzialnie, ucieka z pod jej maleńkich, umiłowanych, śmiertelnie zmęczonych stóp.



Nie dojdzie nigdy zakłęta królewna młodych lat o białych, drobnych rączkach i sennym umarłym sercu. Nie przezwycięży żadna tęsknota, żaden poryw rozpaczliwej przestrzeni, co legła pomiędzy nim a nią, przestrzeni, która w tendencji nie dopuści ich do siebie. Wieki całe będą następować po sobie, przeminą w fali nieustannie powrotnej tysiączne zimy i wiosny, co rok, aż po dzień wszystkie stworzenia będą kwitły saxifragesy, a jej nie będzie!..

Aż kiedyś męka się spełni do dna i z czarno-aksamitnej kotary nieba runie ulewa kosmicznych, złotych brył. Otoczy go, zaleje i zmiażdży złote szaleństwo gwiazd, tak, że nie zostanie śladu ani z niego, ani z tęsknoty, ani z czarodziejskich snów... Jeno gdzieś w potwornej ramie niebieskiej otchłani, na jakiejś samotnej i ocalałej gwieździe, mocą tajemną przechowa się po wszystkie wieki czarodziejska legenda o bezgranicznym, samotnym kochaniu.

I pokolenia, które przyjdą po wiekach wieków, nazwą tę gwiazdę północy, gwiazdą miłości i same, nie wiedząc czemu, poczną tęsknić i marzyć. Śmiertelnym jest bowiem człowiek, ale nieśmiertelną jest jego boska władza cierpienia i miłości.

Piotr w doszczętnym swym opuszczeniu i samotności nie zaważył tego sam, że stał się poetą. Gdyby nawet mógł spostrzec i zrozumieć tę przemianę, nie umiałby jej nazwać. Poezja była w nim elementarną siłą serca i duszy, ale życie wśród samotnych trudów i śmiertelnych zapasów o byt, nakazywało, zmuszało nieomal mieć równolegle trzeźwy rozsądek, czujną praktyczność i nieustanną gotowość do walki. Był człowiekiem czynu i najpierwotniejszych praktycznych działań, gdy walczył; w chwilach przymusowej bezczynności stawał się poetą bezwiednie, wbrew swej woli nawet, choć w głębokiej, istotnej zgodności z własną naturą.

Pewnej nocy, gdy bezsenny wsłuchiwał się w nieustający szloch serca, wiatr od morza przyniósł zrazu stłumiony, potem coraz wyraźniejszy huk. Jak gdyby trzask łamanych kości jakiegoś przedpotopowego olbrzyma rozlegał się grzmot pękających lodów. Zer-

wał się wyszedł przed chatę. — Niebo zasnuło mgłą, i ciężkimi obłokami pochowało zazdrośnie wszystkie gwiazdy; — w powietrzu czuć było wilgoć i śnieg wyraźnie chlupał pod okutymi podeszwami butów. Szła odwilż, pierwsza zwiastunka wiosny.

Jak zawsze przyszła nagle i rozpoczęła z miejsca cyklopowymi ciosami swoje tytaniczne dzieło niszczenia potężnych, niespożytych zda się, prac zimy. Wiosna i zima na dalekiej północy są nagłe i niespodziewane, jak ludzkie szczęście i jak ludzka niedola... Doświadczył tego w pierwszych latach swego tutaj pobytu i dobrze wiedział, co oznaczają nocą pękające lody. Pełną piersią wdychał wilgotne powietrze od strony cieśniny i czuł mocą wyobraźni niepokojący, słodki zapach ziemi, rozgrzanej pierwszymi promieniami słonecznymi. Za kilka dni, najwyżej za tydzień zapodzieje się kędyś bez śladu potężna masa śniegów i lodów, a ziemia uśmiechnie się wdzięcznie ku słońcu swoją ubogą, a jednak tak drogą roślinnością. Jak każda istota pozbawiona doszczętnie szczęścia i wszelakiej radości, cieszył się jak dziecko, że wyjdą z pod śniegu złotawo-żółte porosty i fioletowe fragesy, obramione zieloną,

prawie aksamitno — czarną otoczą mchów. Skazany na wieczne czasy, na bezradną samotność, pozbawiony dośmiertnie szczęśnej rzeczywistości karmił złaknioną duszę jej poetyckiem odbiciem. Jeszcze jeden oto czar smutnego uśmiechu wiosny, a potem zima i Bóg jeden wie, co dalej.. W rozpaczy bezgranicznego opuszczenia, każde takie doroczne zdarzenie słońca i skąpego życia było przeradosną



uczta serca, dyonizyjskiem świętem uniesienia bez miary. Bowiem prócz mchów i fiołkowych kwiatuszków łomikamienia, zlatywały na skalisty brzeg morza niezliczone roje ptactwa, wesołego, gwarne, niezmiernie ruchliwego w w swych arcyważnych zabiegach o żywność i potomstwo.

Przylatywały śnieżno-stalowe alki podobne do spasionych, kłótliwych przekupek, zawsze gdzieś się spieszące, nienagadane, nurkujące, lub wypływające z przeżabianą powagą osób znających swą wartość. Białe mewy, z drapieżnymi, okrągłymi oczami polatywały nad wodą, wydając od czasu do czasu żałosne pokrzyki. Tłuste zimorodki, niesłychanie barwne i efektowne, prawdziwa arystokracja brzegu, kołysały się na krótkich nóżkach, szczerze zatroskane o swe żony, wysiadujące pisklęta. Równie lud morski: przeróżne rodzaje fok, morsów, ryb rozpoczynały swoje radosne święto miłości. Białe niedźwiedzie, reny i czarno-bure lisy nadługo przed nadejściem wiosny odpawiały swe małżeńskie gody. Wtedy tundra cała rozbrzmiewała odgłosem odwiecznych walk, płynęła obficie krew, czasem trup się walił, czasem ryk triumfalny zwycięzcy ogłaszał się światu. (c. d. n.)

W A N D A M I Ł A S Z E W S K A

9

ZATRZYMANY ZEGAR

(powieść)

Wrażenie owej śmierci, poczucie zupełnego sieroctwa, nie było we mnie wówczas równie silne, jak rozsadzająca pierś дума, że oto ja jestem ową jedyną, w żalu nieutuloną córką. Oceniałam dziecięcem, małym serduszkim powagę chwili i ważność własnej osoby. Nieraz w nocy długo nie mogłam usnąć: płakałam i wołałam z głębi żalobliwej duszy. „Mamo! Mamo!.. Ale we dnie, gdy cały dom roił się od ludzi, obnosiłam swoją żalobę, jak specjalne odznaczenie, które nie każdemu przypaść może w udziale. Była to jedyna może epoka mego dzieciństwa, kiedy zwracano na mnie uwagę, to też starałam się, te współczucie ludzkie wzmocnić i utrwalić.

Wymagało to nawet pewnych ofiar z mej strony. Adaś, który już wówczas przygotowywał się do

szkół i miał ograniczoną swobodę, zaproponował mi pewnej niedzieli zabawę „W Indjan... Był to zaszczyt nielada, ponieważ ta właśnie zabawa należała do specjalności Adasia i liczyła się do rzędu „chłopczyńskich... — dziewczęńskie traktował już pogardliwie, jako przyszyły uczeń gimnazjalny...]

Olśniona wspaniałomyślnością przyjaciela, zdobyłam się jednak na heroizm:

— Nie będę się z tobą bawiła w Indjan...

— Dlaczego?

— Bo mi mama umarła i jestem w żalobie... — odparłam, nie mogąc jaśniej określić, jaki właściwie zachodzi związek między temi, tak różnemi, faktami.

— Hm... To szkoda — rzekł Adaś — Jak ty myślisz, czy długo

musisz być smutna i nosić tę żalobę.

— Nie wiem... Bardzo długo... Może całe życie? — odpowiedziałam niepewnie i łzy prawdziwego żalu stanęły mi w oczach.

— To i w królowę Elfów nie będziesz się bawić? I w podróż naokoło świata? Ani nawet w domino i w loteryjkę? — znęcał się nademną okrutny mały kat.

Serce mi się krajało, ale odparłam mężnie.

— Nie. Jestem smutna. Muszę być smutna i nie mogę się bawić... nawet w królowę elfów..

— Ha, szkoda! — powtórzył Adaś z respektem, a mnie łzy ciurkiem popłynęły z oczu i uczułam się wtedy naprawdę biedną, skrzywdę oną, bardzo nieszczęśliwą sierotką.

Tego dnia długo płakałam, wtuliwszy głowę w rozpostarty szeroko, gospodarski fartuch Balbiny, a ona gładziła mnie spracowaną ręką po mokrej twarzy, mówiąc z rozrzewnieniem;

— Nie płacz już, nie płacz... Nie płacz, moja ty Krysienko biedna, moja ty sierocino, moja ty...

Ciotka Eufemja, będąc zwolenniczką oszczędności, nie pozwoliła sprawić mi żałobnej sukienki.

— Niepotrzebny wydatek. Żałobę w sercu nosić trzeba — rzekła, wręczając Balbinie starą, zleżałą suknię brązową w czarne centki. — Wystarczy, jeżeli Krysia ciemno ubierać się będzie.

Nosiłam więc tę dziwną „żałobę“, brzydką i ciasną, (i tak ledwie starczyło, dowodziła Balbina) nosiłam ją z przykrością, ponieważ materiał był szorstki i brzydki i razili mój smak estetyczny. Nigdy, nawet w okresach największej biedy, nie miałam tak szkaradnej sukienki. Wszystkie, co szyla mama kochanymi rękoma, wyglądało zawsze świeżo i ładnie, miało w sobie coś z wykwintu i dawało wygląd „pańskiego dziecka“.

Strój ten, włosy, wyczesane szczotką, zmoczoną w wodzie, aby się nie kręciły nad czołem, twarzyczka szczupła i bladawa nadały mi kolor małej sierotki z przytułku.

W domu nazywano mnie półżartem „mniszeczką“. Owej smutnej izzarej jesieni, wlokącej się nieskończenie długo w głąb zimy, byłam naprawdę pożałowania godnym stworzeniem. Wszyscy domowi poczuli się do obowiązku opieki nad osieroconym dzieckiem, ale nie umieli, lub nie mogli tego obowiązku dopełnić. Emilka, mieszkająca znów stale w Klimontowcach, była zanadto zajęta własną córeczką, wówczas już prawie dwuletnią Elą, a także przygotowaniami na przyjęcie nowego przybysza... Obdarzała mnie od czasu do czasu roztargnioną, zdawkową pieszczotą. Miała, biedaczka sama zbyt wiele kłopotów i trosk, by móc poświęcić więcej czasu i uwagi swojej ukochanej małej, „przyjaciółeczce“.

Pani Rymszyna zabierała mnie co dzień na godzinkę czytania i rachunków, ale podczas tych lekcji myśli jej pracowały nad zagadnieniem, co może w tej chwili porabiać Adaś? Czy zdołał już umknąć przed zmorą ćwiczeń gramatycznych i czy da się go odnaleźć w parku przed obiadem?

Ciotka Eufemja zadawała mi co sobota robótki na cały tydzień i strofowała często z racji zbliżającej się ósmej rocznicy urodzin moich... Reszta, to znaczy Janusz i ci nieliczni goście, którzy mieli

dosyć odwagi, by w zamieć i wichurę odwiedzić Kintowce, zainteresowanie moją osobą ograniczali do krótkich, banalnych pytań i uwag, rzucanych wówczas, gdy przypadkowo nawinęłam się komuś przed oczy:

— A cóż tam Krysia? Uczy się, ha? Pokażno, mała, swój kajet dyktandem. Zobaczymy, jak to tam idzie...

Czasem ktoś z bardziej „zadomowionych“ raczył uszczypnąć mnie w policzek, mówiąc:

— Ależ ta Krysia rośnie, jak na drożdżach. Godzień chyba wyższa...

Nieprawda. Byłam wątła i bardzo drobna na swój wiek. Adaś przerastał mnie wówczas o głowę...

XVI

Nie tak znowu daleko odbiegłam z klimontowskiego cmentarza, jakby się mogło wydawać. Przecież Zaduszki, to właśnie moje najboleśniejże wspomnienie z dzieciństwa. Przecież to właśnie w ów dzień...

Śmierć matki spadła na mnie, jak grom z jasnego nieba. I nie tylko na mnie — na wszystkich, pomimo, że spodziewano się jej, mówiono o niej półgłosem, jak o czemś nieuniknionem.

Na schyłku lata biedna mama była już tak słaba, tak słaba, że chodziła, czepiając się sprzętów i przystawała często dla nabrania w chore płuca oddechu. Do dziś dnia słyszę ten oddech krótki, świszczący, głośniejszy często od słów, które wypowiadała z wysiłkiem, urywając wpół zdania i walcząc z suchym, druzgoczącym kaszlem.

O nieuleczalnej chorobie matki mówiono zupełnie otwarcie: Emilka z serdecznym niepokojem, ciotka Eufemja z pogderywaniem, dodając zawsze jakiś przytyk w stronę mego ojca skierowany, zaś pocciwa Balbina z płaczem:

— Już się ona, biedaczka, nie wyłaba dą z tego, nie... — szeptała, wzdychając.

— Ech, takie młode życie! Doprawdy, sensu w tem ani za grosz! — sapał pan Dziechciński, pokrywając zmartwieniem głębszym, niż zazwyczaj, basem.

— Żebyś ty chociaż, Helciu, usłużyła raz dobrej rady i przeleżała w łóżku ten twój chroniczny bronchit... — upominała Emilka łagodnie, śledząc z pod oka pościółką twarz i chwiejne ruchy chorej.

— Już mi to chyba nie pomoże... — odpowiadała mama bezdźwięcznym głosem. — A w łóżku nie wyleżę za nic. Ja już oddawałam na sypanie leżąc nie mogę...

— Ot i skaranie Boże z kaszlem takim! Miałam ja kiedyś kaszel zadawniony, na balu za panińskich czasów zaziębiwszy się, to tylko mlekiem z topionem sadłem wyleczyłam... Spróbuj i ty, duszko. Też nie zaszkodzi, a nuż i pomoże? — śpiewała przeciągle ciocia Józia i uderzała się pięścią w suchą pierś, na znak, że teraz dudni zdrowiem.

Wszystkie rady, perswazje i wymówki przyjmowała matka ze słodkim uśmiechem, przeprasząc nieśmiało:

— Tyle kłopotu wam sprawiam... Tyle przykrości, aż wstyd... Dziękuję, że tacy dobrzy dla mnie jesteście... Ale ja tak sobie pocichutku, pomalutku... Może Bóg pozwoli, to wyżyję. Dla Krysi. A nie, to...

Milkła i przenosiła na mnie wzrok, pełen miłości i troski. Do ostatka, do końca troszczyła się tylko o mnie biedna, droga mama. O to, że źle wyglądałam, że mi brak epotyty, że pewnie czuję się niedobrze:

— Czy ty aby trzewiczków nie zamoczyłaś, Krysiuniu? Wieczory teraz takie chłodne... irosa... Trzeba uważać na siebie, dziecino...

Schylała się z trudem i próbowała cienkimi, przezroczystymi palcami, czy mam napewno suche obuwie.

W początkach października, o dziwo, mama poczuła się znacznie lepiej. Kaszel ustał prawie zupełnie, nawet dotkliwe bóle w lewym boku, na które skarżyła się nieraz, ustąpiły. Sił tylko nie odzyskała jakoś. Chętnie przesadywała w swoim pokoiku, na fotelu, który jej tam ciotka Eufemja kazała zanieść, zrzedząc przytem i łajac, ile wlezie na dobrowolne marnowanie zdrowia:

— Mówiłam: napyta sobie biedy! I napytała! Ale gdzie to Helcia była kiedy inna? Głupota czysta z tem wszystkim i tyle. Pije teraz, co jej ten Amor nawarzył. Mówiłam przecież... cicho, Acan! Mówiłam zawsze...

Reszta zdania rozplywała się w głębi domu, lub przechodziła w ostrą połajankę, skierowaną do którejś z dziewcząt służebnych:

— Trzep się! Trzep się pod piekarnią po nocy! Jeszcze sobie co niepotrzebnego wytrzepiesz! Gdzieżeś to znowu całą godzinę przesiedziała, hę? A jakże, myślisz, że ja nic nie widzę! Żeby ci tylko te spacerki z Antkiem kowala bokiem nie wyszły...

O zmierzchu na woskową, przezroczystą twarz matki występowały rumieńce. Zdawała się odzyskiwać siły, suche i gorące ręce szybko wykonywały robótkę. Od

czasu do czasu podnosiła głowę, błyszczącymi oczyma wpatrywała się w blaski dnia, gasnącego za oknem, a potem przenosiła wzrok na mnie:

— Czem ty byś chciała zostać, Krysiuniu, jak dorośniesz? — pytała.

Robiłam uroczystą minę:

— Będę malować obrazy, jak tatus! — odpowiadałam stanowczym tonem, wiedząc, że robię matce przyjemność temi słowami.

— Czy też ty dobrze pamiętasz tatusia, moja Krysiuniu, wpatrywała się we mnie badawczo i dorzucała po chwili w zamyśleniu: — Bo mnie to chyba będziesz pamiętać.

A potem ożywała się nagle, mówiła dużo i z przejęciem:

— Jak tylko wyzdrowieję i nabiorę trochę sił, pojedziemy do miasta. Duża już z ciebie panna musisz się zacząć uczyć na pensji. Założę pracownię hafciarską, a ty mi będziesz pomagała, prawda córeczko? Mogłabym także dawać lekcje muzyki, lub francuskiego...

Przecież to umiem... Będziemy żyli bardzo skromnie, ale na życie wystarczy... Czasem nawet pojedziemy do teatru.

Ty jeszcze nigdy nie widziałas teatru... Ale poczekaj, gdy tylko trochę podrośniesz... Pojedziemy razem na te wszystkie sztuki, które mię tak zachwycaly dawniej...



— Wyzdrowieję prędko, mamó — prosiłam z przymileniem, tuląc policzek do jej wychudłej ręki.

Kiedyś, w takiej cudownej chwili rojeń na temat jasnej przyszłości, ujęła nagle twarz moją w obie dłonie i spytała głosem wzruszonym:

— Ale gdyby się stało inaczej... Gdybym naprzykład umarła... Czy mi przyrzekniesz, Krysiu, że będziesz zawsze dobrą dziewczynką i będziesz słuchała cioci Femci we wszystkim? Ciocia Femcia jest bardzo zacna i trzeba jej słuchać...

— Nie mów tak, mamó! Nie mów tak! Ty nigdy nie umrzesz! — wołałam z rozpaczą, szlochając. — Będę grzeczna, będę posłuszna, ale ty nie mów, że umrzesz...

— Cicho... cicho... uspakajala mię zmęczonym szeptem. — Wiesz, Krysiuniu, ja tylko tak na wszelki wypadek... Trzeba zawsze...

Pewnego razu, snując się po korytarzu, usłyszałam przypadkiem fragment rozmowy:

DR. WACŁAW LIPIŃSKI

Księżna Anna Jabłonowska, wojewodzina bracka

(Ciąg dalszy)



ok 1764, rok elekcji króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, zastaje księżną wdowę na wsi, w ogromnych dobrach Jabłonowskich. Stanowiły one obszar,

na który składały się Kock, Wysookie Litewskie oraz Siemiatycze, trzy potężne klucze folwarków, których zarządem musiała się teraz zająć księżna Anna.

Pierwsze lata nie przynoszą poważniejszych zmian w tych zapuszczonych, jak wszystkie prawie magnackie obszary, kluczach. Księżna Jabłonowska zajmuje się teraz gorąco polityką, zwalcza kandydaturę pięknego stolnika litewskiego, nie przestaje być jego wrogiem i wtedy gdy Stanisław August obejmuje tron, łączy się później z Konfederacją Barską, żywy i czynny bierze udział w życiu politycznym, jak wiele ówczesnych kobiet polskich, tak wielki wpływ wywierających na tok spraw krajowych.

A czasy były wówczas brzemienne w wielkie wypadki. Wprowadze-

nie na tron stolnika litewskiego, z rodziny tak niedawno jeszcze dorobkiewiczowskiej, wbrew wielu planom i zamysłom królewiat polskich, wpływ Rosji, a przemożne rządy carycy Katarzyny w Warszawie i na królewskim zamku przez jej ambasadorów, rozkład publicznego życia, a jednocześnie coraz bardziej wzmagający się, rosnący na sile i wpływach renesansowy prąd umysłowy, żądający reform, zmian i ulepszeń, wzbudzający szlachetny i płomienny patriotyzm, troskę gorącą o los skołataną ojczyznę — budzi ruch wyzwolenczy, ruch powstańczy i buntowniczy zarazem barskich konfederatów. Kraj staje w ogniu domowej napoły wojny, a w tym ogniu przepalają się dawne pojęcia, przesady i winy, wyrasta z jej promieni coraz żywszy, coraz wspanialszy kwiat odrodzenia.

Nic więc dziwnego, że w tych gorących czasach czynny bierze udział księżna Anna Jabłonowska. Gdy jednak doznaje niepowodzeń na tem polu, gdy upada ostatecznie generalność

konfederacka — księżna godzi się z królem, zyskuje jego przebaczenie i całą swą energję obraca na pracę wśród swych wielkich, magnackich folwarków.

Zapущone, zaniedbane, w opłakanym były one stanie. Jak we wszystkich innych majątkach magnackich, zarządzcy z pańskiej łaski, którzy, wyciskając złoto dla siebie i dla panów, nie szczędzili, rzecz prosta, pańszczyźnianego chłopu, obrabiającego folwarczną rolę.

A stanowisko tego włościanina, pańszczyźnianego chłopu, w tym właśnie okresie, w drugiej połowie XVIII w., było bodaj że najcięższe. Robocizny rosły bez liku, a choć eksport zboża wydatnie się w ciągu tego wieku zmniejszył, to jednak nie z powodu małego zatrudnienia rąk, lecz na skutek coraz gorszej, przestarzałej metody produkcji rolnej, przy której praca chłopska i cięższą i mozolniejszą być musiała. Kmieć był poddany jak i dawniej wszechwładnej woli pana folwarku, który najzupełniej

dowoinie oznaczał czynsze, robocizny, świadczenia, tak że chłop swej nędznej roli nie miał kiedy obrobić, ani jej często nawet nie miał, gdyż rozmnożenie, powodujące coraz to gęstsze podziały, usunęło już dawno z dziejów wsi polskiej łanki i pół łanki, kilkumorgowe, zgoła karłowate pozostawiając działki. Rosła też i liczba robotników rolnych, robotników dworskich, dostarczanych panu przez rozmnażającą się wieś.

Prąd odrodzenia, reform, sanacji, w małym tylko stopniu zajmował się kwestją włościańską z przyczyn, o których była mowa wyżej. Żądano co prawda w literaturze politycznej zapewnienia chłopom ochrony prawnej, a nawet wolności osobistej, żądano nieusuwalności włościan, zaprzestania rugów, a wreszcie ścisłego określenia czynszów, świadczeń i robocizny, jakiegoś *maximum*, którego by pan nie mógł przekroczyć. Były to jednak głosy niedość śmiałe, niedość energiczne, nie znajdujące zresztą posłuchu wśród szerokich mas szlacheckich, obawiających się o swoje dochody.

Zdarzały się jeno wypadki z inicjatywy prywatnej pochodzące, z działalności jednostek, które we własnych dobrach starały się ulżyć chłopskiej doli. Zmniejszono więc ciężary, dokładniej je określano, zamieniano je niekiedy na czynsze, nadawano nawet swobody osobiste. Były to jednak wypadki odozobnionne, naogół rzadkie, tem przeto chwalebniejsze, tem bardziej zasługujące na pamięć i zaznaczenie.

Taką to właśnie drogą poszły i reformy księżny Anny Jabłonowskiej, choć tak wszechstronne i dokładne zrozumienie potrzeb wsi, zrozumienie potrzeby podniesienia nietylko stanu ekonomicznego, ale i oświatowego, kulturalnego, zdrowotnego wsi polskiej — spotykamy w tym czasie tylko u księżnej, która w reformach swych znakomicie łączy podniesienie wydajności swych własnych dóbr z polepszeniem chłopskiej doli.

Praca księżnej Anny teoretycznie rozpoczęta w r. 1664, właściwie datuje się dopiero od r. 1772, od ostatecznego upadku Generalności i pogodzenia się Anny Jabłonowskiej z królem. Główny okres jej działalności przypada na ostatnie trzy dziesiątki lat XVIII w., a o wynikach jej prac, o całem zastosowaniu reform, dowiadujemy się najdokładniej z publikacji, działalność księżnej omawiających.

Tak więc w r. 1777 ukazuje się w Gdańsku dziełko niemieckie o reformach księżnej, traktujące jednakowoż tylko o samem rolnictwie, o nowych sposobach uprawy roli, nie tykając jednak tych instytucyj społecznych, jakie dźwignęła księżna w swych majątkach. W roku 1786 dopiero ukazuje się wielkie ośmiotomowe dzieło, tłóczone w siemiątyckiej, nadwornej drukarni, które w obszernym układzie przedstawia nam to wszystko, co działała księżna Anna Jabłonowska w swych dobrach, a więc i w dziale produkcji rolnej i w organizacji instytucyj społecznych i w polepszeniu doli chłopów pańszczyźnianych.

go. Dzieło to p. t. „Ustawy dla dóbr moich rządców“, napisane przez samą księżnę, oparte na jej długoletniem doświadczeniu, już po przeprowadzeniu większości reform obudziło w kraju tak wielkie zainteresowanie, iż rozkupione została natychmiast, tak, że już w następnym roku musiało się ukazać drugie wydanie „Ustaw“ dokonane przez warszawską firmę Michała Grölla. To zainteresowanie tłumaczy się nietylko głośną sławą, jaką budziły w kraju reformy księżnej, reformy, dzięki którym jej dobra przedstawiały kwitnący stan i wspaniałe przynosiły dochody, ale i tem, i to w znacznej mierze, iż w „Ustawach dla dóbr moich rządców“, znaleźć można było niemal wszystko, co zawierać powinien podręcznik umiejętności gospodarskich, rolnych, ogrodniczych, administracji i zarządu, pełen praktycznych wskazówek, opartych na długoletniem doświadczeniu i krytycznej umysłowości księżnej Jabłonowskiej.

Z wielkiego tego, ośmiotomowego dzieła, dowiadujemy się nietylko o zarządzie miast, wsi i folwarków księżnej nietylko o obowiązkach jakimi rządzić się mieli jej poddani, nietylko o wskazówkach natury praktycznej, ale przede wszystkim o doli ówczesnego chłopów pańszczyźnianego, któremu reformy księżnej, przez założenie całego szeregu instytucyj społecznych, jego czarny, ciężki los niewolnika podnoszą do godności ludzkiej pracy, a jego samego do godności człowieka.

(c. d. n.)

KAROLINA BIELAŃSKA

Z CYKLU: PROFILE ROMANTYCZNE

PIĘKNA PAMELA

(LADY FITZGERALD)

1773 — 1831

III

SWEET PAM

„Nasz drogi Edward zakochał się w Pameli, widując ją często w Tournai, do tego stopnia, że gdy towarzysz podróży zaproponował mu powrót do Anglii, uczuł, iż niepodobna mu rozstać się z nią. Postanowił zatem prosić pani de Genlis o jej rękę. Ta robiła nieco trudności... Wreszcie stanęło

na tem, że Edward wróci do Anglii i uzyska pozwolenie matki, a pani de Genlis wybada Pamelę, czy kocha Edwarda tak bardzo, aby zostać jego żoną? Prosiła Edwarda, żeby przed wyjazdem nie mówił Pameli o swej miłości. Zgodził się na to, choć niechętnie i odjechał natychmiast.

„Nie upłynęło dwadzieścia czterech godzin, gdy dogonił go kurjer z listem pani de Genlis, donoszą-

cym, że mówiła z Pamelą, że ta się zgadza i że może powracać z Anglii, pewny jej wzajemności.

„Ta wiadomość tak bardzo rozradowała i uszczęśliwiła Edwarda, że nie tracąc ani minuty czasu, pospieszył do matki i poprosił ją o przyzwolenie na swe małżeństwo. Udzieliła mu go z łatwością, widząc z jego sposobu wyrażania się, że postanowienie, które powziął, jest niezłomne i że ożeniłby się,

niewątpliwie, ze zgodą matki lub też bez niej!

Tak pisze w dzienniczku swoim siostra Edwarda, lady Zoffa, starsza od niego, nieładna, ale dobra i szczerą istotą, zwana przez brata „kochanym Rudziaczkiem.“

„Ucieszyłam się bardzo powrotem Edwarda—ciągnie dalej, byłam smutna i niespokojna o niego. Tyle złośliwych plotek było w obiegu tutaj po wykreśleniu go z armji...”

„Kochany chłopiec sprawił mi wielką niespodziankę, oznajmiając, że się żeni, a zwłaszcza z kim. Było coś tak oryginalnego i niezwykłego w myśli, że on właśnie spotkał się z panią, wychowaną przez panią de Genlis, on, który tak często żartował z jej teorii wychowawczych i dokuczał mamie, mającej dla niej bezgraniczne uwielbienie, dowodząc, że miła autorka ślicznie pisze i rozprawia, ale życie jej nie jest bynajmniej wzorem cnót!...”

Edward, zakochany, „widział wszystko na różowo“, i temu dziwić się nie można, raczej zastanawia fakt, że matka jego, księżna Leinster, przyjęła bez sprzeciwu za synową młodą dziewczynę bez nazwiska i majątku.

Rodzina Edwarda widziała, bądź co bądź, w Pameli latorośl książęcego rodu. W epoce owej pochodzenie nielegalne zbytniej różnicy nie stanowiło, wszak złota księża szlachty angielskiej pełna była królewskich i książęcych bastardów. Sama księżna matka, z domu księżniczka Richmond, była wnuczką nieprawego syna króla Karola II, urodzonego z Francuzki, Reneé de Kérounaille. Dobra po tej prababce francuskiej, położone w Bretanii były dotąd w jej posiadaniu. Zresztą ona sama popełniła megaljans i tytuł księżnej dawano jej tylko z kurtuazji. Zostawszy wdową, poślubiła nauczyciela swych synów, Szkota p. Ogilvie, i do dziewięciorga jej dzieci, noszących wspaniałe historyczne tytuły, przybyły dwie córeczki, skromne miss Ogilvie. Tem dziwniejszy był ów związek, że p. Ogilvie był brzydki, niemiły, w przyszłości miał odegrać rolę conajmniej dwuznaczną. On to, bardziej konserwatywny od arystokratycznej rodziny, najbardziej krytykował „rewolucyjne“ pochodzenie Pameli. Nie lubił Edwarda, może właśnie dla tego, że ubóstwiała go matka.

(Za jego to radą oddano piętnastoletniego chłopca do wojska. Kampanję amerykańską odbył w angielskich szeregach, choć serce ciągnęło go raczej na stronę przeciwną, tam gdzie walczył Waszyngton, Lafayette i Kościuszko. Raz też z narażeniem własnego

życia ocalił jeńców, ochotników francuskich, których dziki generał Bourgoing chciał powiesić).

Rodzeństwo za to bardzo kochało się między sobą, zwłaszcza siostry uwielbiały wesołego i miłego brata, który w smutnym nieco, po szkocku purytańskim domu, gdzie „od siódmej rano śpiewano psalmy, a o dziewiątej kładziono się spać“, był istnym „promieniem słońca“, zawsze gotów do żartów i śmiechu.

Z radością przyjęto zatem wieść, że ten kochany i szalony chłopak przywozi z Paryża, zamiast krwawych, jakobińskich nowinek, śliczną oblubienicę. Przecież młody, rozkochany małżonek nie będzie myślał o robieniu rewolucji! Zresztą wiadano, że Pamela „była bardzo dobrze wychowana, że posiadała staranne wykształcenie i gruntowne zasady moralności, jedynem, co zarzucićby się dało, było to, że majątek jej był bardzo skromny, a kochany Edward, mimo wszystkich swych zalet serca i umysłu, nie ma pojęcia o oszczędności...”

Edward utrzymywał, że majątek ma sobie za nic i nie było to u niego czczym frazesem.

Jako dziewiętnastoletni oficerek błąkał się po dziewczyczych lasach Ameryki, rozgorczył pierwszy miłosnym zawodem: kuzynka, w której się kochał, Georgina Lennox, wychodziła za mąż za lorda Bathurst, zapominając o niebogatym kuzynku „kadecie“ rodziny. Wtedy to zawarł przyjaźń z wolnemi pokoleniami czerwonoskórych Indian, mieszkając pod ich namiotem, został uroczyście przyjęty jako brat szczepu „Wielkiego Niedźwiedzia“. Patrząc na swobodne życie tych dzieci natury, pisał półżartem, pół smutnie do matki:

„Jak szczęśliwie żyją tu ludzie! Nie potrzeba wielkiej fortuny, by się ożenić! Niema kwestyj majątkowych między rodzeństwem, niema sporów, kto Anglik, a kto Irlandczyk!... Gdybyśmy się urodzili, jako Indianie, lady Lucja i Zoffa (siostry) zamiast bawić się pod nadzorem guwernantki, łowiłyby wesoło ryby na obiad, Mimi i Tiss (przyrodnie siostry) nosiłyby wodę i rozpalały ogień, a ty kochana mammo siedziałabyś spokojnie, paląc fajkę.“

Przebywając samowtór z wiernym Murzynem wielkie przestrzenie Kanady, żywiąc się całemi dniami kukurydzą i kawałkiem słoniny,

*) Mirys był dawniej nadwornym murem Krasickich i Branickich w Białymstoku.

czuje się zadowolony: „Niktby nie uwierzył, jak mało potrzeba człowiekowi do życia!“

„Wiercie mi, brak wygod jest niczem! Wolałbym lata prywacji, niż kilka dni smutku!“

Kto wie, czy Edward, szczerzy wyznawca Rousseau'a, nie byłby wolał, gdyby ukochana dziewczyna była naprawdę biedną sierotką, kupioną za dwadzieścia pięć funtów, którąby wziął, jak król Kofetua z legendy, ubogą żebraczkę w jednej koszuli?

Majątku nie wziął istotnie, gdyż renta, zapewniona przez księcia była wielce problematyczna, ale wyprawę książęcą dla Pameli krajał, szył i haftował cały pensjonarzik pani de Genlis na wygnaniu w Tournai.

Roboty te urozmaicały smutne zimowe wieczory, ktoś czytał głośno, ktoś śpiewał przy klawikordzie, czasem przyjeżdżali w odwiedziny oficerowie ze stojącej opodal armji Dumourieza. Szybko upływały dni narzeczeństwa młodej pary i życzenia pani de Genlis, niespokojnie patrzącej w przyszłość godziły się z pragnieniem Fitz Geralda, aby ślub odbył się jak najprędzej. Za indultem, udzielonym przez biskupa z Tournai, księcia Salm — Salm, małżeństwo zawarte zostało zaraz po Bożem Narodzeniu.

Przyjechała na tę uroczystość hrabina de Valence, starsza córka pani de Genlis, z młodzieńką Herminą, drugą sierotką angielską, którą opiekowała się, jak córką.

W miejsce księcia Orleańskiego, nie mogącego ruszyć się z Paryża, syn jego, generał Egalité, położył swój podpis jako świadek na akcie ślubnym. Drugim świadkiem był „polski malarz“, Sylwester Mirys*).

26 grudnia 1792, 1-go roku republiki belgijskiej, przed notariuszem w Tournai został spisany kontrakt małżeński między „Edwardem Fitz Geraldem, szlachcicem irlandzkim, zamieszkałym w Dublinie w Irlandji, synem nieżyjącego Jamesa Fitz Geralda, księcia Leinster, i pani Amelji Lennox z obywatelką Anną, Karoliną, Stefanją Symś, lat dziewiętnastu, zamieszkałą w Paryżu, urodzoną w Fogo na wyspie Nowej Ziemi, córki Wilhelma Brixey i Mary Symś, znajdujące się pod opieką obywatelki Stefanji Felicji Ducrest Brûlart Sillery, znanej w roku 1786 pod nazwiskiem hrabiny de Genlis“.

W kontrakcie ustalono, że małżonkowie zapisują sobie wzajemnie majątek, kto przeżyje, dziedziczy, Pamela nie posiadała jednak niczego, prócz renty od księcia.

Kościelny akt małżeństwa, zachowany w archiwum biskupiem w Tournai, zawiera ciekawy dopisek: „Ta obywatelka Syms była wychowywana z dziećmi obywatela Egalité. Mówią, że pochodzi z Indyj. Błogosławiony, kto uwierzył! Croira qui voudra!”

Ślub odbył się w kościele parafialnym St. Quentin 27 grudnia. W salonach pałacu, użyczonych uprzejmie przez biskupa, urządzono wspaniałe przyjęcie, tańce trwały trzy dni. Ostatniego dnia roku młoda para odjechała do Anglii.

Pani de Genlis pozostała smutna, choć uszczęśliwiona, że „niebo wynagrodziło najlepszy uczynek jej życia: zaopiekowanie się niewinnością, pozbawioną opieki, i rozwinięciem w tem nieporównanem dziecięciu cnót i rozsądku, które sprawia, iż stanie się teraz wzorem małżonki i matki.”

„Sentimental and Massonic Magazine”, wychodzący w Dublinie, podał w zeszycie styczniowym z 1793 r. taką notatkę:

„Szanowny lord Edward Fitz Gerald, kawaler hrabstwa Kildare, zaślubił pannę Pamelę Capet, córkę cidevan t księcia Orleańskiego.”

„Świat” miał uciechę, mógł plotkować do woli.

Ileż to nazwisk przypisano panie młodej i z jakim przekazem pytano: księżniczka ż to pół krwi, czy podrzutek?

Panna Egalité, panna Capet czy Nancy Syms?

Nie brakło złośliwych anegdot. Opowiadano, że Pamela brała ślub — w czerwonej czapeczce na głowie! Mieszkając cichą dziewczynkę z ognistą amazonką Rewolucji Theroigne de Mericourt, mówiono, że ona to, dosiadając karego rumaka, prowadziła wzburzone tłumy na zdobycie Bastylji.

Złośliwi dokładali wszystkie te wersje na szalę różnych bezeceństw, których dopuszczać się miał młody „lord Jakóbin” w Paryżu. Życzliwi oczekiwali przybycia Pameli z ciekawością i pobłażaniem.

„Edward bawił się całe życie w romans — pisze ciotka jego, lady Sarah Napier, słynna niegdyś sama z przejść romansowych i wielkiej urody, rywalka ks. Izabeli Czar-toryskiej w sercu pięknego Lauzun’a. — Romans ten znachodzi swoje uwieńczenie w marjażu jego z Pamelą Syms.”

Romans Edwarda Fitz Geralda kończył się sielanką. Ale w kącie czaiła się już tragedia.

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU



WSPÓŁZAWODNICZKA OSSEN-DOWSKIEGO.

Paryski „Matin” zamieszcza dłuższy wywiad z podróżniczką francuską, panią Aleksandrą David, która po kilkunastoletnim pobycie w Indjach i Tybecie powróciła niedawno do kraju. Przebywała ona w miejscach, niedostępnych dla Europejczyka i miała dotrzeć do świętego miejsca Lhasy, stolicy Dalaj-Lamy.

Pani David udała się z ramienia francuskiego Ministerstwa Oświaty w r. 1911 do Indji, aby tam prowadzić studia naukowe. W tym samym czasie przebywał w Indjach tybetański Dalaj-Lama, szukający w tym kraju schronienia przed Chińczykami, którzy wypędzili go ze „świętego miasta”.

Przypadek sprawił, że pani David poznała owego tajemniczego kapłana, widomego zastępcę Buddy na ziemi, i zapragnęła koniecznie zwiedzić świątynię Lhasy, niedostępną, jak wiadomo, dla Europejczyków oraz dla wszystkich „niewiernych”.

Władając biegle narzeczem tybetańskim i znając doskonale zwyczaje miejscowej ludności, pani David postanowiła dokonać swej wycieczki w przebraniu tubylem. Plan ten jednak nie dał się tak łatwo uskatecznić, gdyż dostęp do „świętego miasta” strzeżony jest pilnie. Kilka lat przebywała śmiała podróżniczka w górach tybetańskich, w małej wioseczce, zamieszkaney przez pobożnych pątników; przebywała czas jakiś w ubraniu zakonnem w klasztorze buddyjskim; wreszcie, na czele małej karawany tubylców, wyruszyła do Lhasy, usiłując się tam przedostać od strony dziewiczej puszczy Uda.

Długie tygodnie — mówi pani David — błąkałam się po tej puszczy napotykając wciąż koczujące nawpół dzikie plemiona leśne. Od nich dowiadywałam się o kierunku drogi. Gdy jednak cel mej podróży zdawał się już osiągnięty — gdy byłam już niedaleko przy sa-

mych murach Lhasy — napotykałam strażę, które nakazywały mi się cofnąć. Trzeba było po kilku niefortunnych próbach, zrezygnować z dotarcia do Lhasy tą drogą tembardziej, że trudy długiej podróży wyczerpywały siły mojej małej karawany. Zwierzęta juczne marły z chłodu, niewygód i braku pożywienia, — trzeba było koniecznie myśleć o szybkim odrocie.

Niepowodzenie to jednak nie zraziło mnie. Po upływie roku postanowiłam znów podjąć wyprawę na nowo — tym razem inną drogą. Nauczona doświadczeniem, nie brałam już ze sobą żadnej karawany — towarzyszył mi tylko jeden człowiek: stary tybetańczyk, pełniący razem rolę opiekuna, służącego i przewodnika.

Po nadludzkich wysiłkach, przebywając o głodzie i chłodzie niedostępne wąwozy górskie, zasypane śniegiem, dotarliśmy wreszcie znowu do najbliższych okolic Lhasy od strony osady Salonen. I tutaj jednak natrafiliśmy na nieprzewycięzoną przeszkodę w postaci pewnej sekty tajemnej, która osiedliwszy się na pograniczu „świętego miasta”, rozciąga pilną straż nad wszystkimi pielgrzymami, usiłującymi przedrzeć się do „serca Tybetu”.

Teraz stało się dla mnie jasnem że niepodobieństwem jest dostać się do Lhasy od strony Indyj: była ona zbyt dobrze strzeżona. Nie dałam jednak za wygraną i postanowiłam próbować szczęścia — drogą przez Chiny. Wyruszyłam w roku 1926 piechotą przez Chiny z moim przybranym synem (nawiasem mówiąc, dziś znanym poetą tybetańskim). W stroju pielgrzymim, o żebranych chlebie, niosąc swe zapasy żywnościowe w worku na plecach przedzieraliśmy się przez łańcuch górski na wysokości przeszło 5,000 metrów. Cudem tylko ocaleliśmy przed śnieżycą, która szalała przez dwie doby bez przerwy, zasypując wszystkie ścieżki i przesmyki górskie. Gdyby była potrwała jeszcze dzień dłużej — pozostalibyśmy na wieki w tych niedostępnych, straszliwych górach, gdzie nie powstała jeszcze przed nami noga Europejczyka.

Po wysiłkach i trudach których nie byłabym w stanie nawet opowiedzieć, dostaliśmy się nareszcie do Lhasy i spędziliśmy w niej — zawsze w charakterze pielgrzymów tybetańskich — kilka tygodni. Zbadałam dokładnie wszystkie tajemnicze zakątki „świętego miasta” i mogę się poszczycić, że jestem jedyną chyba na świecie kobietą, — a w dodatku Europejką, która potrafiła tam dotrzeć.

Z. B.



Z KSIĄŻEK

Juliusz Kaden-Bandrowski: *Miasto mojej Matki*. — Wacław Czarski i S-ka
Warszawa 1925 r.

To nie Kraków, jak sądziłam, widząc okładkę tej książki, lecz — nieistniejące na ziemi i odpowiednika na mapie na mające, miasto „z wdzięków i dobroci wzniezione, przy bezpowrotnej drodze człowieka chwalebnie budowane, nie w kamieniu, czy też w granicie, ani w kruszcu, — lecz budowane z cudownego drzewa ludzkiej wdzięczności”.

Miastem tem jest wszystko to, co w nieuchwytnym wspomnieniu pozostało człowiekowi z pierwszych lat dzieciństwa, a co stało się przecież opoką jego osobowości, kością charakteru, tajemnicą zachwyty i wstrętu, potężnym i bezapelacyjnym nakazem duszy, własnym, w sobie noszonym przeznaczeniem.

Ta książka czarująca, która już zapewne zjedna Kadenowi samych tylko przyjaciół zawiera w sobie człowieczeństwo. Pisana bez żadnej tendencji pedagogicznej, ani morali autorskiej, bez sztucznego wysuwania zagadnień. bez faryzejskiej obłądy ludzi, stąpających na koturnach cnoty, z fałszem, wziętą z życia kilkoletnich chłopców i ich najbliższego otoczenia — stanowi ślicznie skonstruowany kryształ, który licznymi ścianami swemi styka się z samym rdzeniem, z najgłębszym sensem życia.

Dzięki umiejętności wzięcia się w tajemniczą atmosferę najdalszych wspomnień, dzięki zdolności przenikania prawdy tamtych lat i artystycznie dyskretnemu, aczkolwiek stanowczemu wysuwaniu na światło zagadnień społecznych i indywidualnych, z którymi na każdym kroku spotyka się dziecko — dzięki wywołaniu wreszcie przedziwnie delikatnej i nieomylnie prawej osobowości Matki — książka stała się tak bardzo ludzką, tak sięgającą w prawdę i fałsz naszego wzajemnego, ludzkiego życia.

Jej bardzo głęboki etyczny sens wypromieniowuje nieznacznie jak aureolą kart, plastycznie, wesoło, niemal realistycznie pisanych.

Kaden nie jest pedagogiem i nie chce nim być. Staje się jednak mimowoli wychowawcą, w najlepszym znaczeniu.

Mały człowiek z jego książki nie jest „wzorusem”, ani „słodkim” aniołkiem, przeżywa bowiem cały swój dzień z tem, co jest w nim dobrego i złego.

Więc pośpiesznie i bezwzględnie wysuwa się podczas egzaminu ponad kolegę, prześcigając go i niejako spychając na sam dół symbolicznej drabiny („Niejaki Kastalski”), milcząc zgadza się na przeniesienie swej winy na sąsiada („Najbiedniejszy uczeń”); nienawidzi namiętnie korepetytora za to, że ten jest żydem; nielitościwie znęca się nad Marcysią („Grobla”) i t. d. i t. d.

Niezatajanie tych „prawd” życia stwarza problematyzm wychowawczy, którego rozwiązanie zresztą podaje sam autor, opisując dobitną, krótką i konsekwentną reakcję na te czyny rodziców.

W książce tej wchodzi w sam środek życia. To, co w niej jest, było naprawdę.

Więc i dywanik, tkany przez rodziców nocami bezsenności przy łóżku chorego syna, i szablę krzywa nad tym dywanikiem, i Tomasz, i Filipina, i wuj Gucio — i złota taca — i tajemniczy Gujsztak — natchnienie, narodziny talentu, — i skarbonka,

która nie stała się symbolem ciułania i skąpstwa, lecz pewnego dnia rozbita „lekomyślnie” — oddaje swe złoto dla paru miesięcy beztróskiego szczęścia i „grobla” — i stryj Aleksander...

Ta to „Grobla” — opowieść o pewnych wakacjach, spędzonych na wsi, stawia nas wobec zawiłych jak węzeł, jak wielką górą trudnych do przebycia, spraw, które z małutkiego pozornie świata przeżyć dzieci urastają do powagi niedających się wyminąć, ani zlekceważyć, gdyż ciągle powracających, z niedoskonałości życia wyrosłych, tragicznych konfliktów prawdy i kłamstwa, winy i przebaczenia: rozstrzygają się one już poza wszelkimi uwarunkowaniami: w czystej esencji ludzkich dusz.

I wreszcie „Sława” — precudna nowela o tem, co daje rzeczywiste władztwo na ziemi, a co jest tak trudne i tak znikome, tak upragnione, a tak ciężkie, że znużony niem człowiek na schyłku życia marzy o odwróceniu losu: o tem „by cicho życie całe leżeć na trawie”.

Nowela ta jest chyba najpiękniejszą. Posiada blaski tych promieni złotych, w których kolisku uwodzicielskim znalazły się dzieci; daje smak zachwyty i niemal religijnego nastroju, jaki budzi u ludzi prostych sztuka.

Najpiękniejsza, — jak „Grobla” jest najbardziej ludzka. W niej z ciężkiego wysiłku, z walki z samym sobą, przez dobroć powołane do życia, rodzi się zwycięstwo człowieczeństwa.

Z wydarzeń bledych, z biegu zwykłych dni wydobywa Kaden utajony ich sens i wartość. Wiąże takty i nakłada je na nic życia, której początek jest nieznany, a koniec niewiadomy.

Ta książka, tak prosta i pogodna, ma w sobie powagę i zamyślenie człowieka, który nie bawi się faktami, jak klejnotami o równym blasku, lecz znaróżnowartościowość czynów, ich ciężar właściwy, dźwięk i fatalną wagę na szalach życia.

Kaden jest artystą, który posiada nie tylko wiedzę o etycznych wartościach, lecz nawet szczególnie czuły w sobie ich sprawdzian.

Mam wrażenie, że czujność tę wobec „zła” odnaleźć by można we wszystkich książkach Kadena — o ile nie dać się zwieść ich obiektywizmowi i nie zagubić w misternej, lecz zawiłej ich konstrukcji

„Miasto mojej Matki” — książka o latach dzieciennych, gdy wznoszą się zręby charakteru i kształtuje stosunek do świata — to stanowisko Kadena w całej prostocie, jasności i blasku objawia.

N. Samotykowa.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO.

Nakładem księgarni Gebetnera i Wolffa wyszły z druku następujące nowe a bardzo interesujące powieści: Stef Barszczewskiego „Czandu”. opowieść fantastyczna z XXII wieku, oraz J. Germana „Iwonka. Książka przez duże k — nowe zdanie! po „Iwonce” kropka.

Książka o niezwykle, niecodziennej treści jest „Na ostatniej placówce „Elżbiety z Zaleskich Dorożyńskiej, z przedmową A. Górskiego.

Ponadto mamy nowe wydanie następujących dzieł: Wł. St. Reymonta „Chłopi” ukazują się w szóstym, popularnym wydaniu, zawartem w dwóch dużych tomach

Niezwykle poczytna książka Ossendowskiego „Przez kraj ludzi, zwierząt i bogów” dosięgła cyfry 13.000 egzemplarzy. Powieść A. Grzymały-Siedleckiego „Samoseki” ukazała się w drugim wydaniu.

Niezbędnym vademecum dla każdego bibliotekarza stanie się niewątpliwie podręcznik p. Jadwigi Borsteinowej, bibliotekarki w Głównym Urzędzie Statystycznym, p. t. „Zasady klasyfikacji dzieł”.

Literaturę naszą pedagogiczną wzbogaca książka słynnego amerykańskiego pedagoga C. H. Hendersona p. t. „Nowe wychowanie”. Przekładu dokonała znana tłumaczka całego szeregu dzieł pedagogicznych I. Moszczeńska.

Jako jedno z prac Instytutu Mesjanicznego ukazała się „Propedentyka Mesjaniczna” Hoene — Wrońskiego w przekładzie z francuskiego Paulina Chomicza.

Nowy tomik „Biblioteczki Uniwersytetów Ludowych i Młodzieży Szkolnej” obejmuje odczyt prof. Ign. Chrzanowskiego „Romantyzm polski wobec Konstytucji 3 maja”.

Nakładem tejże firmy księgarskiej ukazał się wybór poczyt Artura Oppmana (br-bt a) pod nazwą „Hymn Wolności”.

* * *

Niezwykle interesujące dane zawiera „Katalog prasowy Para”, rocznik III 1925 r., wydany nakładem Biura Ogłoszeń „Par” w Poznaniu. Stosownie do zawartych w nim obliczeń, wychodzi na terenie Rzeczypospolitej (włączając w to i obręb w. m. Gdańska) 1212 dzienników i czasopism. Z tego przypada na pisma obcojęzyczne 175 i to angielskich — 1, esperanckich — 1, francuskich — 1, litewskich — 2, niemieckich — 84, rosyjskich — 5, rusińskich — 34, żydowskich — 47. Wydawnictw specjalnych (zawodowych, sportowych, lekarskich itd.) mamy 374, w tem asekuracyjnych — 6, bankowych — 6, bartniczych i ogrodniczych — 8, bibliograficznych i księgarskich — 6, budowlanych — 2, chemicznych i farmaceutycznych — 7, cukrowniczych — 2, dentystrycznych — 5, drzewnych — 2, elektrotechnicznych — 1, felczerskich — 1, filatelistycznych — 7, gorzelniczych — 1, górniczych i hutniczych — 1, graficznych i papierniczych — 2, handlowych — 21, harcerskich — 12, lekarskich — 13, leśniczych — 4, mierniczych — 2, młynarskich — 2, naftowych — 6, pedagogicznych — 23, piwowarskich — 1, pożarniczych — 2, prawniczych — 14, przemysłowych — 15, radio-technicznych — 4, rolniczych — 32, rzemieślniczych — 18, sportowych i gimnastycznych — 21, spółdzielczych — 10, stenograficznych — 2, teatralnych, kinowych i muzycznych — 16, weterynarskich — 2, wojskowych — 8, związkowych — 85, żeglarskich i morskich — 2. Ciekawą jest statystyka pism polskich zagranicą. Pism takich posiadamy 135, i to w Stanach Zjednoczonych (102), w Anglii, Argentynie, Austrii (3), Brazylii (3), Chinach, Czechosłowacji (3), Francji (7), Japonii, Łotwie, Niemczech (9) i Rosji (3). Razem wychodzi publikacji polskich (łącznie z obciążonym w Polsce) na świecie 1347. Cyfra poważna i bardzo znacznie przewyższająca ilość publikacji periodycznych jakiegokolwiek innego państwa w całej Słowiańszczyźnie!



KAPELUSZ HAFTOWANY

Niema takiej części ubrania, któraby podług wymagań dzisiejszej mody nie powinna być haftowana więc począwszy od bielizny, wykwinnych kombinacji, eleganckich „dessous“, a skończywszy na parasolkach i rękawiczkach, haft różnego rodzaju ozdabia nas od stóp do głów. Na kapeluszach widzieliśmy już nieraz haftowane motywy i klamry, a teraz oto ostatnie żurnale przynoszą nam modele kapeluszy całych zahaftowanych, robiących wrażenie bogatej, różnobarwnej mozaiki. (rys. 1).

Ten wybryk mody nie jest nawet trudny do zdobycia,

bo każda z nas łatwo go sama dać trochę gustu i pomysłowości. Kapelusz podany przez nas składa się z czterech kwatek wykro-



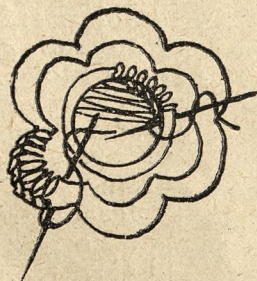
rys. 1.

jonych z organdyny dowolnego koloru i zahaftowanych podług załączonego obok wzoru — i rondka także haftowanego, którego czwartą część podajemy.

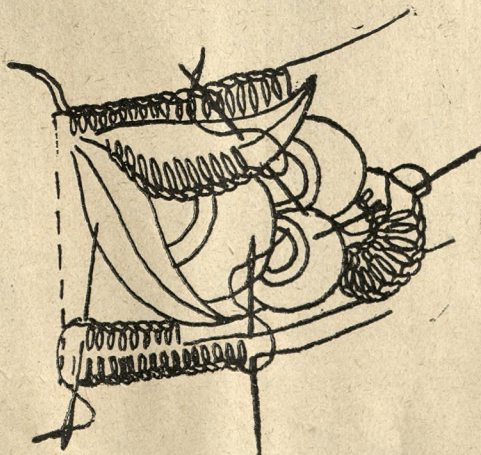
Haftować można sztucznym jedwabiem, lub bawełną D. M. C. a po skończeniu roboty trzeba deseń wyciąć tak jak się wycina robotę Richelieu, cztery kwatery połączyć ze sobą, podszyć je organdyką tego koloru, co tło, rondko też podszyć organdyką i połączyć z główką.

Robota łatwa i niezbyt pracowita, a efekt bajeczny.

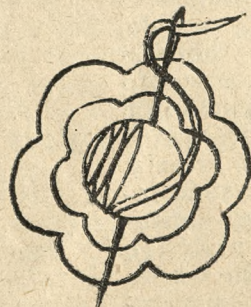
Rys. 2 — 3 — i 4 wskazują jakimi ściegami haft powinien być wykonany.



rys. 2.



rys. 3.



rys. 4.



nieskazitelnie czysty i świeży. Jeśli zatem budżet wasz, lub warunki domowe nie pozwalają wam na ścisłe przestrzeganie tego warunku—radzę wam, kochane Czytelniczki, rzec się raczej żabotu i zastąpić go może banalniejszym i bardziej obnoszonym, ale za to o wiele praktyczniejszym szalem najlepiej batikowanym, bo ten jest obecnie najmodniejszy.

Wracając do kwestji żabotu, należy stwierdzić, że królestwo jego nie kończy się jedynie w granicach ozdoby naszych kołnierzy, przeciwnie, rozciąga się ono na teren całej toalety. Niektóre firmy krawieckie produkują już nawet suknie zwane „robe-jabot!”

Widziałam jedną taką „kreację” u Lelong’a i przyznam się wam, że byłam nią zachwycona. Spróbuję ją wam opisać:

Na obcisłem „fourreau” z crepe marocain migdałowo-zielonego koloru długa tiunika z crepe georgette tejże barwy; staniczek gładki z tyłu, z przodu szeroko rozcięty. Wycięcie przy szyi okrągłe. Poniżej paska rodzaj baszki, trochę krótszej niż suknia; jest ona gładka z tyłu, bardzo ob-



KAPRYSY MODY

Moda dzisiejsza wykazuje bardzo wybitne tendencje.. historyczne. Wszędzie widzimy nawrót ku przeszłości: długie nasze „redingotes”, wcięte w pasie i poszerzające się na biodrach, przypominają epokę Ludwika XV; okrycia nasze skromne i stylowe, są najwyraźniej inspirowane modą z czasów Ludwika XIV. Rękawy poszerzają się ku dołowi, tworząc szeroki mankiet, na bokach ukazują się kieszenie z klapami, wcięcie talii podnosi się zwolna na właściwe miejsce powyżej bioder; a kołnierzyk krochmalony zastępuje coraz częściej żabot z batystu, z tiulu, ze starej koronki wreszcie — wszystko w guście minionych dawno epok.

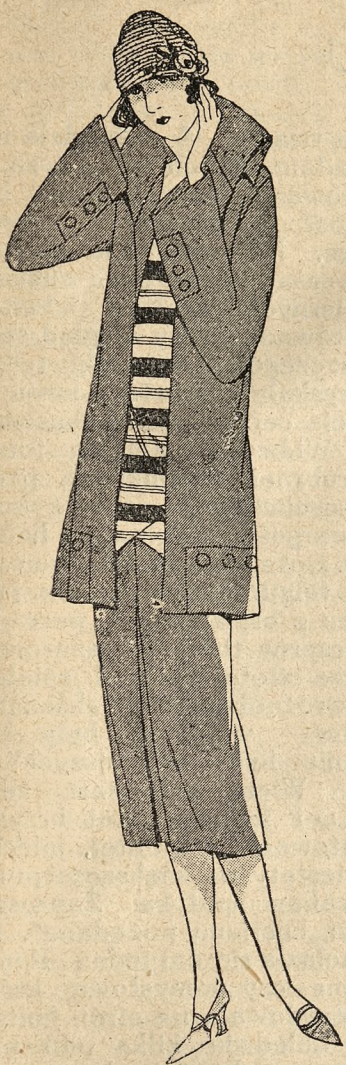
Przyznaję zresztą, że te wszystkie reminiscencje historyczne posiadają bardzo dużo wdzięku. Żabot naprzekład, lekko plisowany lub marszczony, jest doprawdy ozdobą ładną, wdzięczną i bardzo dystyngowaną—pod jednym wszakże warunkiem — aby był

ficie zmarszczona na przodzie i trochę mniej na boku. Długie, bardzo długie rękawy z crêpe georgette, przez których delikatną i przejrzystą zieleni przeświecać będzie tak ślicznie białe ramię. Całość niezmiernie wdzięczna, a na tej skromnej sukience, przy szyi, plisowany żabot z białej crêpe georgette; podobny żabot, tylko podwójny i szerszy, zaczyna się przy rozcięciu bluzki i opada ku dołowi, przy rękawach także sama pliska, zakrywająca do połowy rękę. Trudno sobie wyobrazić toaletę bardziej skromną, a jednocześnie bardziej elegancką i w dobrym guście.

Zarzućcie jeszcze do tego na ramiona kołnierz z lisa białego lub gronostajową etolę, a jestem przekonana, że całość ta uzyska wielki aplauz i powodzenie.

Jeszcze słówko o „robe jabot”: robi się ją z fularu, z woalu jedwabnego, gładkiego lub desenioowego, z crepe de chine’u, z twill’u—z każdego lekkiego gatunku jedwabiu wreszcie, żabot zwykle zaczy-





czek z czarnej mory. Kamizelki te można doprawdy uszyć sobie w domu z jedwabiu gładkiego lub deseniowego, z „ottomanu” lub też poprostu z białej piki.

W Paryżu noszą je także pod żakiet kostjumu „tailleur” — te panie, oczywiście, które pozostały wierne temu kostjumowi. W tym wypadku należy koniecznie dbać o harmonję całości. Tak np. jeśli się ma kostjum koloru, powiedzmy, „bleu-lavende”, z lekkiej popeliny, tak obecnie modnej — trzeba do niego nosić bluzkę typu „chemisier” z płótna jedwabnego tegoż koloru, a na to kamizelkę z ottomanu w odcieniu nieco ciemniejszym. Całość będzie bardzo gustowna i doskonale scharmonizowana w tonie.

A oto jeszcze inny sposób wykorzystania mody kamizelek, — nadający się jak najlepiej do odświeżenia naszych sukienek letnich.

Dodajcie do sukienki kretonowej kamizelkę z płótna w kolorze dobranym do ogólnego tła sukienki (jeśli jest to materiał deseniowy), obszyjcie tę kamizelkę galonem, lub jeszcze lepiej, wypustką z materiału sukni — jeśli wam pozostały kawałki; zamiast guziczków, zróbcie dziurki do przeciągania i zasznurowujcie tę kamizelkę z przodu wąską, czarną aksamitką. Będzie to wszystko razem wyglądało bardzo ładnie, zwłaszcza jeśli sukienka nasza jest nieco szersza, z rodzaju t. zw. „robes Lanvin”.

Mojem zdaniem, eleganckie panie powinny być wdzięczne krawcom paryskim za ten nawrót ku wzorom historycznym, zwłaszcza, że jak widzicie, nie trzymają się oni zbyt ściśle pewnego stylu i pewnej epoki, lecz czerpią piękno tam, gdzie im się podoba. Niechże, tak zaczawszy, idą dalej po tej szczęśliwej drodze — byleby nam nie kazali powrócić do turniur i krynolin, ani do straszliwych gorssetów, wyciskających talję naszych prababek na podobieństwo osy! Sądzę, że tego rodzaju artykuły mody możemy śmiało złożyć do muzeum rzeczy przebrzmiałych i dawno zapomnianych.

Zanim zakończę tę pogawędkę, chcę wam jeszcze, Czytelniczki moje, powiedzieć parę słówek o wchodzących obecnie w modę przybraniach z grubej wstążki „gros



na się przy kołnierzu i dochodzi często aż do dołu sukni, umieszcza go się albo pośrodku, albo na lewym boku. Czasem też biegnie ukośnie od jednego ramienia aż do dołu sukni po przeciwnej stronie.

Wracając do reminiscencji historycznych, o których już mówiłam, trzeba jeszcze wspomnieć o tak modnych obecnie kamizelkach, noszonych pod okryciem lub redingote'a. Kamizelki te mają wyrażnie styl z epoki dyrektorjatu — ozdobione z przodu podwójnym rzędem guzików z perłowej masy, zakończone są dwoma szpicami, nieraz bardzo wyciętymi i przedłużonemi, co nadaje całej kamizelce pewien sztyk specjalny. Ozdobą bardzo pomyslową jest także kieszonka, do której przyczepiamy mały wore-

grain”. Jest to ostatnia nowość sezonu: wstążki w pasy lub desenie geometryczne. Wstążki te związuje się w płaską, przedłużoną krawatkę, o końcach czasami bardzo długich. Najzabawniej wygląda inne przybranie z tejże wstążki, rodzaj riuszy bardzo grubej i wypukłej, zrobionej w taki sposób, jak się składa papier, aby utworzyć łódeczkę. Nie jest to wcale tak trudne, jak się wydaje — trzeba tylko pewnej zręczności. Taki motyw przyszywa się na brzeжку sukni albo tiuniki, co obciąża lekki materiał i wygląda zupełnie nowo i oryginalnie.

Wstążkami tego rodzaju, tylko węższymi, możemy także przybierać kapelusze, kamizelki etc. — wszystko zależnie od naszego gustu i natchnienia,

Hrabina Annie.



Z WIOSENNEGO KARNAWAŁU

Jedną z najładniejszych zabaw zielonego karnawału był bal Inflancki, urządzony na cele kulturalno-oświatowe na Inflantach pod protektorem wojewody warszawskiego hrabiego Sołtana. W przeszlicznej sali reprezentacyjnej pałacu Mostowskich, udekorowanej żywymi kwiatami, zgromadziło się doborowe towarzystwo, które przy dźwiękach świetnej orkiestry Różewicza bawiło się ochoczo do białego rana. Złociste promienie wschodzącego słońca oświeciły długi szereg par wirujących w kwiatowym kotyljonie.

W dzisiejszych czasach udoskonalonej kosmetyki i higieny nie trudno o kobiety piękne lub takie które się pięknymi wydają, lecz coraz rzadziej można spotkać kobietę rasową. Połączenie piękna i rasy jest fenomenem, przy którym niepodobna nie zatrzymać się w podziwie. Na balu inflanckim były panie, które łączyły te obie zalety. Było zwłaszcza parę takich, które przy ślicznych, srebrnych włosach zachowały świeżą cerę, młodzieńczą żywość ruchów i kształtność kibici.

Jedna z nich miała prześliczną suknię z szafirowego jedwabiu w perskie czy tureckie desenie (genjalne zastosowanie starożytnego, wschodniego szalu olbrzymich rozmiarów) długa kloszowa tiunika, szeroko oblamowana popielatem

futrem nadawała sylwetce „un cachet moderne”, zaś pochodzenie tkaniny wykiuczało możliwość taniego naśladownictwa. Inna również srebrnowłosa dama miała ładną toaletę z georgette'y pervenche, haftowanej w srebrne desenie. Z radością należy podkreślić fakt, że czarny aksamit przestał być wyłącznym udziałem pań mających dorosłe córki. Bez obawy śmiesznego zarzutu, że się usiłują odmłodzić (któżby tego nie chciał, mój Boże?!), mogą się ubierać we wszystkie kolory w jakich



im do twarzy. A wyglądają nieraz tak ładnie, że ich prześlicznie zaondulowane, srebrne włosy budzą zazdrość w niejednej utlenionej główce. Natomiast nie widziałam, ani przesadnie krótkich sukien, ani nadmiernych dekolatów i twierdzę, że zarówno ogólny wygląd sali jak i poszczególne sylwetki tylko na tem zyskały. Prostota kroju i dystynkcja cechowała większość toalet. Widziałam gładkie fourreau ze srebrnej koronki na podłożu jasno-cyclamène, suknię z koralo-wej georgette, oryginalnie haftowanej w złote kłosa i fourreau z różowej fulgurante w szerokiej ramie z haftu z brylantów i pereł i obcisłą czarną toaletę z szeroką tiuniką ze złotej koronki spiętą girlandą z różnobarwnych aksamitnych kwiatów — wszystkie były ładne. Czy nie było ładniejszych? Nie wiem. Wiem natomiast, że nie było ani jednej sukni brzydkiej, niegustownej, pospolitej, jakich się tyle niestety na większości publicznych zabaw spotyka. Zaproszenia głosiły: „kostjumy pożądane”. Lecz nie znalazła się ani jedna Pani tak odważna czy pomysłowa, któraby się zdecydowała na strój fantastyczny. Zaledwie kilka pań miało stylowe przybrania głowy, w tej liczbie żona wojewody — protektora w uczesaniu Biedermajer i pięknym szalu koronkowym na kunsztownie upiętych włosach. W. L.

DOKĄD JECHAĆ NA LATO?

Padło hasło obowiązujące wszystkich obywateli Polski. „Nie wyjeżdżać zagranicę w tym roku, nie wywozić złotych naszych w obce ręce”. Jak przystało na społeczeństwo karne, dojrzałe i obowiązkowe, świadome, pozostaje nam tylko buntowniczo objeżdżać osobiste podporządkować przyjętemu postanowieniu, jak zawsze, gdy chodzi o sprawy doniosłej wagi. Nie pora wówczas na dyskusje jałowe ani na zgłaszanie „votum seperatum”. Należy po prostu sprawę postawić na gruncie praktycznym.

Przychodzi chwila, gdy z miasta wyjeżdża, kto może. Wymagają tego wprost nerwy nasze, przemęczone przez rok cały pracy i gorączkowego życia w stolicy, wymagają płuca zakurzone, forsowane serce — jeśli chodzi o zdrowych. Cóż do-

piero mówić o chorych — a zwłaszcza o dzieciach naszych, tych biednych dzieciach wojennych i powojennych, od których jednak tyle wymagamy pracy wyteżonej w ciągu roku szkolnego i na których sile i wydajności pracy ma z czasem oprzeć się cały gmach przyszłości?...

Postanowiono zatem, że zostajemy w kraju. Dokąd się udać, aby najkorzystniej dla zdrowia i najoszczędniej dla kurczących się ogólnie kieszeni — czas letni spędzić? Ci którzy mają wyraźnie wskazaną przez lekarzy miejscowość kuracyjną, pytają o to nie potrzebują. Posiadamy w kraju sporą ilość uzdrowisk na wszelkie dolegliwości. Są oczywiście mniej lub więcej komfortowe i na różnym stopniu rozwoju. Lecz tę sprawę

wę pozostawimy wyłącznie lekarzom i ich pacjentom. Większość jednak „letników”, to są ludzie zdrowi — i dodajmy — liczący się z wydatkami. O tę kategorię nam chodzi — Nasuwają się tu dwa pytania: dokąd jechać i jak się urządzić najoszczędniej?

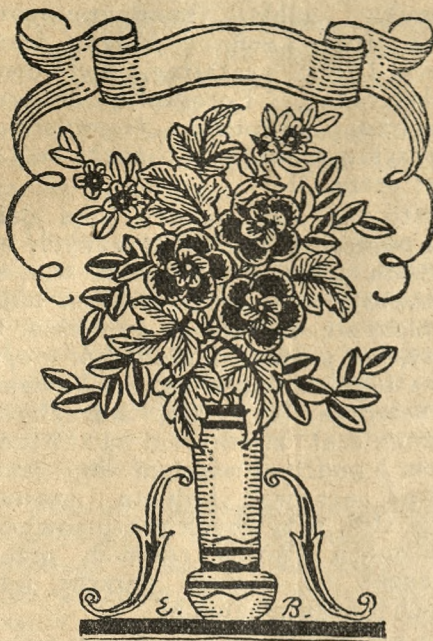
Na pierwsze pytanie rzuciłabym w odpowiedzi hasło:

„Szukajcie nowych, nieodkrytych dróg...”. Te miejscowości, do których jeżdżą wszyscy, bywają przepełnione, konwencjonalne, drogie i nudne. Co za parodia wilegiatury te różne miejscowości podmiejskie, gdzie się trzeba stroić, „deptać” po zakurczonym skrawku parku, wysiadywać w cukierniach itd... Lepiej już zostać we własnym, wygodnie urządzonej mieszkaniu w mieście.

Kraj nasz obfituje w śliczne „nieodkryte“ dla ogółu — miejscowości. Podgórskie wioski, nadrzeczne miasteczka, osady wśród lasów położone — nawet teraz i nadmorskie osiedla. Przecież wszystkie słynne miejscowości letniskowe, zaczynając od Zakopanego a kończąc na powstających i rozwijających się świetnie plażach jak Gdynia, Kamienna Góra, Oksywie, Karwia i wioski na Helu, były w ten sposób „odkrywane“. Przyjechało najprzód kilka osób, dalej kilka rodzin, zaczęto urządzać mieszkania, przystosowując je do potrzeb i wymagań — otwierać pensjonaty i restauracje, a z czasem przychodził komfort. Wzdłuż bretońskich wybrzeży, każda wioseczka rybacka stała się, lub staje się miejscem wilegiatury dla Paryżan.

Zapewne, że ci pierwsi pionierzy cierpią różne braki i niewygody — a niestety! przedewszystkiem walczyć muszą z ogólnem niechlujstwem ludu naszego — ale czyż lepiej jest pod tym względem na mnożących się jak grzyby po deszczu, skromniejszych letniskach pod Warszawą? Ten sam brak wygod elementarnych, zaostrowany specjalnem paskarstwem chłopów podmiejskiego — a w dodatku krajobraz, mogący o melancholię przyprowadzić: suchotnicze sosny, rzadka rozsiane wśród łąk piaszczystych — i nic poza tem. Lepiej już w pierwotnych warunkach mieszkaniowych znaleźć się wśród uroczych Pienin, Beskidu, gór Świętokrzyskich lub nad brzegami Bałtyku.

Tym, którzy wolą górskie i podgórskie okolice polecić można Stary Sącz, śliczne staroświeckie miasteczko, uroczo położone u stóp Pienin, ze stacją kolejową na miejscu, leżące w żyznej, a więc dobrze zaprowiantowanej okolicy. Nieco dalej i wyżej — Krościenko, już niemal w sąsiedztwie Szczawnicy, na szlaku wycieczek najpiękniejszych w Pieninach lub Dunajcem. A cały Beskid Wschodni, dziki lecz przedziwnie malowniczy i szereg wiosek huculskich, gdzie otacza świat tak odmienny, życie kipiące i ciekawe. W tamtych stronach Dr. Tarnawski założył słynne swe uzdrowisko Kosów, promieniujące już wokół kulturą.



— Uroczę i zdrowotne są okolice źródeł Wisły, tam rozwija się pięknie letnisko Wisła, a szereg pobliskich miejscowości czeka na inicjatywę letników, aby powstać do życia. To samo powiedzieć możemy o Pieskowej Skale, Ojcowie, Olkusz i otaczających je wioskach. Malowniczy Kazimierz nad Wisłą znany już jest i uczęszczany od dość dawna „odkrywać“ go nie potrzeba, raczej tylko rozwinąć.

Pomorze zasiane jest schludnemi miasteczkami, gdzie nawet wybredne wymagania zaspokojone być mogą, jeśli idzie o potrzeby kulturalne, a bliskość morza nasycy powietrze specjalnie świeżem i rzeźwiącem tchnieniem.

Ci zaś, którzy lubują się w aromatycznym powietrzu leśnym i ciszey puszczy odwiecznych, mogą znaleźć pożądany odpoczynek w okolicach puszczy Białowieskiej. Hajnówka, Narewka — są to stacje wielkiej linii Warszawa — Wołkowysk — Wilno, a zarazem osady, gdzie przy małych wymaganiach można się urządzić na lato.

Przy tej samej kolei, o kilka stacyj dalej, znajduje się wdzięczne nad rzeką Rosią — położone miasteczko Roś. Bliskość obszer-nych i pięknych lasów ordynacji hr. Branickich nasycy tam powie-

trze ozonem i zapewnia piękne spacerowanie po lasach, ślicznie urozmaiconych i bogatych pod względem flory. Są tam nawet całę zagajniki modrzewiowe.

Decydując się na takie letnisko improwizowane, trzeba oczywiście pożegnać się z wszelką myślą o komforcie. Ale izbę można wszędzie kazać czysto wymyć i wybielić, wszędzie znaleźć można stoły i stołki, łóżka drewniane, (pościel oczywiście trzeba mieć ze sobą) i gwoździe w ścianie dla wieszania rzeczy. Kuchnia wraz z nieskomplikowanemi sprzętami — znajdzie się także wszędzie.

Wszystko to razem będzie mocno spartańskie, lecz wystarczające dla odkrywców i pionierów — a chwilowa zmiana życia na proste i bez przenośni „na łonie natury“ ogromnie odświeża, hartuje i wzmacnia nerwy.

Drugim problemem jest: w jaki sposób urządzić się jak najtaniej? Przedewszystkiem solidarnie bronić się od wyzysku i paskarstwa — wszędzie, a w nowo kreowanych letniskach — przedewszystkiem. Po drugie — jadąc zwłaszcza w roli odkrywców do miejscowości jeszcze dzikich, zrzeszać się w małe kooperatywy. W roku zeszłym, grono moich znajomych, złożone z kilku zaprzyjaźnionych z sobą rodzin, założyło sobie rodzaj kolonii w jednym z uroczych podgórskich miasteczek. Wynajęto kilka mieszkań i panie rozdzieliły pomiędzy siebie trudy; jedna czuwała nad aprowizacją, druga kierowała sprawami kuchennymi, trzecia mieszkaniowymi itd.

Koszt utrzymania w ten sposób rodziny, złożonej z czterech członków, równa się sumie wydanej przez jedną osobę w pensjonacie uzdrowiska, licząc oczywiście jednaki przeciąg czasu. Rezultat godny zazdrości i trzeba dodać że przy tym trybie lato zeszło — nie tylko korzystnie dla zdrowia i kieszeni — ale i bardzo wesoło.

Spróbujcie, panie! — Aby wyjść z letniskowego, kosztownego szablony, trzeba trochę inicjatywy i energii.

M. Domańska.





PIES!

Nagłówek, jak na dział mód, robót ręcznych, praktycznych przepisów i kultu wnętrza domowego, conajmniej zastanawiający! Pozwolę sobie jednak zwrócić uwagę, że tak z punktu widzenia mody, jak i życia domowo rodzinnego mój „pies” i wszystko, co pragnę o nim powiedzieć nie jest wołającym o pomstę do niebios, odchyleniem, ani przekroczeniem granic, dozwolonych i nakreślonych imperatywnej ręką tej, która ma moc — rzucenia tych kartek do kosza!

Z punktu widzenia mody, pies miał i mieć będzie jeszcze nieraz okres władcy!

Dzisiejsze powojenne życie, pogłębione zrozumieniem i odczuciem wielu rzeczy, dawniej nieistniejących, dla licznej rzeszy beztrojskich niewiast, konieczność pracy zarobkowej, wydala ją kobietę z domu na szereg godzin dnia, wreszcie szczupłość pomieszczeń, trudne warunki bytu, brak zbędnego grosza, skreśliły z listy eleganckich konieczności, ratlerka dzwoniącego gamą złotych grełotek, potwornego miłą i mądrą brzydota buldoga francuskiego, którego imponująca obroża, na kształt kolczastej kryzy szyję zdobiąca, była codziennym zjawiskiem w przedsionkach pierwszorzędných hoteli, na plażach morskich i eleganckich stacjach klimatycznych.

Mam przed sobą pięknie wydane pismo ilustrowane francuskie, otwarte na karcie, którą zdoła fotografia, jednej z uznanych za piękność sezonu, gwiazd teatralnych Paryża, schwyconą w chwili rannej przechadzki w cienistych alejach Lasku Bułońskiego. Artystycznie obmyślona i mistrzowska w najdrobniejszych szczegółach skromność stroju sportowego, dopełniają prowadzone na smyczy, silną ręką, trzy psy, z których każdy jest pięknym okazem swej rasy.

Smukły, gibki, kamienno-szary wilk, rosły i zwinny buldog francuski i lekki, kształtny, wytworny foksterjerek. Fotografję tę zapatrzonego podpisem: „Najmilsi towarzysze rannej przechadzki królowej sezonu”!

Kto zna siłę nakazu, jaka idzie od pomysłów i towarzyszących im czynów „gwiazd” paryskich, wie, że stwarzają one modę jednym ukazaniem się na scenie, spacerze, w łoży, lub salonie! i niedługo może pies tak, jak maleńka, batikowana chusteczka, a dzisiaj wszechpoteżny szal, stanie się wykończonym i podcieniowanym linij, jaką winna zachować kobieta „szanująca się”, w pewnych przepisowych godzinach swoich rannych przechadzek po alejach parków, naszych i zagranicznych!

A teraz pomówię o innym psie, nie tym zdobiącym buduar królewską krasą rasowego kształtu, w który zakłęła swój ostatni kaprys piękna kobieta, lecz o tym przyjacielu wiernym i niezastąpionym, który nie bacząc na drogi jakimi się dostał do domu naszego, zdobywa sobie łatwo prawo obywatelstwa, a wcielając się szybko w organizm życia rodzinnego, zajmuje w nim tak ważne miejsce, że pustka po jego stracie staje się niewypowiedzianie bolesną, a pamięć trwa długie lata!

Kto nie wychował nigdy sam psa od maleńkiego, bezradnego szczeniaka, który rozłączony zbyt wcześnie z matką, wymaga starań i opieki bezustannej, nie może zmierzyć skali przywiązania, jakim człowiek jest w stanie darzyć stworzenie! Najpodatniejszymi i najwdzięczniejszymi towarzyszami



człowieka, są bezwzględnie konie i psy! Pies, jako współtowarzysz i opiekun małych dzieci, wykazuje nieraz zdumiewający spryt i zmysł orientacyjny. Pokój dziecinny w domu, dbającym o rozwój nie tylko fizyczny ale i duchowy dziecka, powinien mieć, bezwzględnie swego oddanego i wiernego towarzysza, współzycie z którym rozwija najszlachetniejszą stronę charakteru, uczy dobroci i wyrozumienia, każe otoczyć opieką słabsze i tylokrotnie bezbronne, w obliczu złości ludzkiej stworzenie.

Jeżeli los obdarzy nas przypadkowo, nieoczekiwanym, a nieraz i niepożądanym gościem, pod postacią podarowanego, lub przegarniętego psiaka, błakamy się wśród różnych systemów wychowania, chcąc dać mu wszystko to, czego młody i niedokarmiony jego organizm dla racjonalnego rozwoju potrzebuje. Pierwszym z nieuzasadnionych przesądów, jakie towarzyszą zwykle szczeniakowi w okresie jego wzrastania, jest przeświadczenie, że psa do roku, myć, ani kąpać nie wolno.

Otóż, nauczona własnem doświadczeniem, wiem, że podobny zakaz jest bezpodstawny! Szczenie, dłączone od matki, pozbawione jej dbałości i starań, któremi otacza je, wylizując i wygryzając sierść, łatwo podlega nieznośnej pladze robactwa, które męczy i wyniszcza, a raz zapuszczone tępi się długo i trudno. Mały sześciotygodniowy szczeniak może być, bez żadnych dla jego zdrowia złych skutków, wymyty dwa razy tygodniowo, w dużej miednicy, ciepłą wodą, czysto opłukany, wytarty do sucha, poczem zawinięty ciepło, aż do wyschnięcia. Gdybyśmy go dostały w stanie zanieczyszczonym, lub nieumiejętnem obchodzeniem się do takiego doprowadziły, trzeba przed kąpielą natrzeć skórę roz-tworem Sabadilli i zawinąć ściśle



zwierzątko trzymając je na rękę, aby nie miało możliwości wygryzania, lub wylizywania się, gdyż lekarstwo jest, jeżeli nie trujące, to w każdym razie szkodliwe.

Nacieranie zaaplikowane dwa, trzy razy, powinno usunąć wszelkie niepotrzebne i niemiłe naleciałości. Psy o długiej sierści, jak owczarki, szpice, pudle etc. winny być od maleńkości starannie czesane i szczotkowane, a wyrobi im się włos długi, jedwabisty i piękny. Co do pożywienia, nie trzeba zapominać, że pies jest wybitnie mięsożerny i że wszelkie żywienie go inaczej, jak mięsem i kośćmi jest naleciałością, bez której doskonale się może obyć.

Szczeniaki, zabrane zbyt wcześnie od matki, wykazują niejednokrotnie skłonności rachityczne, zapobiega się temu, dając im codziennie, do ogryzienia dużą wołową kość, wygotowaną w zupie. Trzeba unikać dawania szczeniakom kości ciętych, o miękkich chrząstkach, którymi dławią się łatwo i niebezpiecznie. Najczarniejszą stroną wychowania psa jest skłonność do nieporządku, którą wykazuje w okresie dorostania. Są psy, które chowane starannie i tresowane umiejętnie, uczą się porządku wcześniej, przeważnie jednak przykry zwyczaj zanieczyszczania pokoi, kończy się z wejściem stworzenia w okres dojrzałości, to jest po skończeniu jedenastu miesięcy.

Pies, który ma się rozwijać normalnie i wyrosnąć na silne i zdrowe stworzenie, musi być racjonalnie odżywiany, wyprowadzany codziennie na daleki spacer, winien mieć stale w czystym naczyniu świeżą wodę, a od czasu do czasu, w okresach dwu, lub czterotygodniowych, dawać mu trzeba szczyptę siarki, która zbawiennie wpływa na stan ogólny.

Zbytecznem jest chyba zwracać uwagę na to, jak ważną rolę stale utrzymywanie zwierzęcia w czystości. Psy o długiej sierści strzyżę się zwykle wczesnym latem, aby okres upałów stał im się mniej uciążliwym.

Dodać jeszcze muszę, że do mycia szczeniaka nie można używać mydła innego, jak przetłuszczone dziegciowe, gdyż inne, nawet najdelikatniejsze toaletowe, wysuszają skórę i wywołują swędzenie i liszaje, grzybkiem zwane, które łatwo mijają, przy stosowaniu odpowiedniej maści.

Pies im większą się cieszy wśród domowników sympatją, tem silniej podlega pladze okazywania mu przywiązania, przez stałe przepasanie go słodyczami, łakociami i tak bardzo przez wszystkie psy lubianą wędliną, serem etc. co w skutkach, szczególnie u psów chowanych w mieście, które z konieczności, mają niewiele ruchu, jest szkodliwe, a niejednokrotnie opłakane! Pies winien dostać porcję swoją dwa razy dziennie i najlepiej wprowadzić zwyczaj, aby w czasie posiłków, był poza obrębem jadalni, a wtedy łatwiej powstrzymać się od mimowolnej ustepliwości, na którą tak silnie oddziaływa wrodzona zmysłowość stworzenia, odnajdującego w sobie, pod wpływem zapachu ulubionych potraw, umiejętność zdobywania takowych, przywołaniem się i proszeniem, któremu trudno się oprzeć.

Dowiedziona jest rzeczą, że u psa najważniejszą rolę gra węch. Jak ważnym jest dla psa zmysł powonienia, okazują doświadczenia Biffi'ego i Schiffa, którzy, jako następstwa zniszczenia psom nerwu powonienia, zaobserwowali u szczeniąt, niemożność odnalezienia wymienia matki, eksperyment ten dokonywany na starszych zwierzętach, poz-

bawiał ich przywiązania do człowieka.

Pies, na wolności zmysłny i dający sobie doskonale radę, we wszelkich okolicznościach życiowych, jako niewolnik człowieka, jest zależny i na wielu punktach upośledzony. Od jego pani, lub pana, zależy w dużej mierze, ulżenie doli stworzenia, które zamknięte w czterech ścianach miejskiego, dusznego mieszkanka, jest nieraz pożałowania godnym męczennikiem. Siła przywiązania, jaką okazują psy osobom, wśród których wzrosły i żyją, jest doprawdy tak wielka, że starania koło ich wychowania i potrzeb koniecznych, nie są w stanie odpłacić nawet w setnej części za uczucie, jakiego się od nich doznaje. Dla osób, które zdają sobie sprawę, że mając psa nie dosyć jest dać mu jeść i pogłaskać od czasu, do czasu, a które przytem mają dar prawdziwego przywiązania się, takie ulubione stworzenie jest niejednokrotnie ciężarem, którego nie wybyłyby się za żadne skarby świata, a które tamuje jednak wolność ruchów i absorbuje sobą bardzo. Dlatego też, sama na sobie doświadczając od lat tych odwrotnych stron medalu, a pomimo to w swem przywiązaniu do tych domowych tyranów niezmiennie wierna, radzę szczerze w warunkach niepomysłnych i nieodpowiednich strzec się obarczenia zwierzęciem, któremu nie będziemy mogli stworzyć znośnej egzystencji, a sobie przyczynimy kłopotu i rozżalenia, wobec nieuniknionego, najczęściej tragicznego końca takiego niedozorowanego ulubieńca.

Lepiej wyrzec się na razie rozkoszy posiadania wiernego i prawdziwie kochającego towarzysza, niż w imię egoistycznej chęci posiadania go, zmienić stworzenie urodzone do swobody w smutnego niewolnika czterech ścian, naszego szczupłego mieszkania. W.

Parę gier w piłkę, odpowiednich dla starszych dzieci

(ciąg dalszy)

Omówię teraz gry odpowiednie dla starszych dzieci powyżej lat 13-tu. Wymagają one już znacznie więcej orientacji, szybkości odruchów, a także celniejszego i silniejszego rzucania, dla dzieci młodszych będą za trudne i najczęściej zachodzi przy nich to zupełnie niepożądane zjawisko, że parę silniejszych i sprytniejszych jednostek wybije się na pierwszy

plan i piłka cały czas nie wychodzi z ich rąk. Inne dzieci stoją biernie i nudzą się, a główną zaletą gry jest jeśli zmusza wszystkich uczestników do udziału i jeśli jest na tyle prosta i łatwa, że nie wymaga od dzieci większego wysiłku umysłowego ani nie przekracza ich możliwości fizycznej.

Piłka graniczna. Dzieci dzieli się na dwie grupy po kilkoro

lub kilkonaścioro. Grają na oznaczonym boisku wymiaru mniej więcej 50 na 20 m. przedzielonem linią poprzeczną. We środku krótszych granic boiska ustawia się bramkę z chorągiewek lub stojaków.

Celem gry jest przerzucić piłkę przez bramkę przeciwników. Gra się do oznaczonej liczby punktów. Każda partja ma swego przewod-

nika (kapitana, króla) Zaczyna grę przewodnik, który wylosował pierwszeństwo. Staje on o 8 kroków od linii środkowej i rzuca piłkę jak najdalej na pole przeciwników.

Jeśli piłka zostanie złapana przez nich z powietrza, to temu, kto złapał, wolno przybliżyć się trzema wielkimi krokami od miejsca, w którym stał do bramki przeciwników i stąd rzucać. Jeśli piłka upadła na ziemię, rzuca się z miejsca, na które upadła, jeśli odbito ją w locie, to rzuca się stamtąd, dokąd się potoczyła.

Zawsze więc chodzi o to, by albo złapać, albo lepiej jeszcze jak najdalej odbić, bo przy odbiciu partii przeciwnej łapać nie wolno.

Granice, biegnąc za piłką, wolno naturalnie przekraczać.

Jeśli piłka przejdzie nawet bramkę, ale zostanie złapana w powietrzu lub odbita przez broniących bramkę z powrotem na boisko przed bramkę, to bramka taka nie liczy się. Wobec tego ile razy zbliża się do którejś z bramek przeciwnik na taką odległość, że można obawiać się przerzucenia, wszyscy biegną za bramkę, by starać się udaremnić zdobycie punktu. Ten, kto złapał w powietrzu, rzuca z bramki, kto odbił, z tego miejsca, na które upadła piłka.

Piłkę, która została wyrzucona z boisko, przeciwna partja rzuca z tego miejsca granicy, przez które przeleciała.

Po każdym zdobytym punkcie zaczyna przewodnik partji zwyciężonej.

Piłka graniczna jest miła, a ożywiona przez to masowe przebieganie za bramkę, podchodzenie pod bramkę przeciwnika, przez możność indywidu-łnego odznaczenia się dalekim i celnym rzutem lub wielkością swoich trzech kroków. Od całej partji wymaga zgrania się, orientacji i szybkości poruszeń.

Podaj dalej. Wielkość boiska zależy tu od ilości grających, których ustawia się w symetrycznie rozmieszczonych w trójkącie o kilka kroków odległych od siebie kółkach (patrz rysunek). Grających dzieli się na dwie partje. Na jednej połowie boiska partja pierwsza stoi w kółkach, na drugiej partja przeciwna. Obok każdego kółka stoi dziewczynka z partji przeciwnej.

Celem gry jest rzucenie piłki dziewczynce stojącej w kółku na końcu boiska, czyli na wierzchołku trójkąta, utworzonego z kółek. Gra się do oznaczonej liczby punktów.

Trudność dla zdobywających punkt polega na tem, że nie wolno im wychodzić z kółka. Jeśli kto kółko przekroczy, to oddaje się piłkę przeciwnikowi stojącemu obok. Grę rozpoczyna się z tej strony boiska, gdzie uczestnicy stoją poza kółkiem. Rzuca się piłkę za linię dzielącą boisko do kogoś ze stojących w kółku.

Zasadniczo kierunek rzutów jest dla każdej partji w tę stronę, gdzie jeden z jej członków stoi na końcu w kółku. Jednak umiejętność

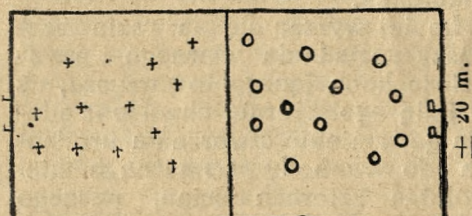
gry polega właśnie na tem, by wykorzystać nieuwagę czy niezdolność przeciwnika i podać piłkę nie najprostszą drogą, lecz rzucić ją choćby z powrotem, byle w pewne ręce, podawać ją zygziem, nieoczekiwanie i szybko.

Gra w „podaj dalej” jest dobra na dni upalne, wymaga dość mało miejsca, więc można znaleźć łatwiej ocienione miejsce, niema przy niej dużo ruchu. Wyrabia natomiast ogromnie uwagę i zręczność, a także karność w stosowaniu się do zasad, rzetelność gry. Wszyscy pilnują i każdy siebie musi pilnować, żeby nie wykroczyć z wiążącego go kółka. Ten natomiast, co stoi obok kółka, na swobodzie, musi okazywać pewne względy swemu bezpośredniemu przeciwnikowi. Nie wolno mu potrącać go, ani wytrącać mu piłki z ręki, mimo że zadaniem jego jest piłkę samemu pochwycić i odrzucić ją z powrotem w kierunku swojej partji (tam, gdzie jego partja stoi w kółkach) a nie dać jej pochwycić przeciwnikowi z kółka. „Podaj dalej” wymaga w ten sposób od dzieci dużego opanowania i kultury w grze i jest doskonałym przygotowaniem do znakomitej gry sportowej jaką jest „piłka koszykowa”, rozpowszechniona dziś w całym świecie tak wśród mężczyzn i kobiet dorosłych jak i wśród młodzieży.

O piłce koszykowej pomówimy kiedy indziej. I. F.

PIŁKA GRANICZNA

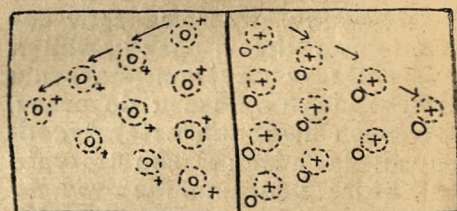
± 50 m.



+ partja czerwonych.
o partja białych.

Przy piłce granicznej dowolne rozstawienie. Przy „podaj dalej” symetryczne rozstawienie w kółkach.

„PODAJ DALEJ”



WYCHÓW I ŻYWIENIE KURCZĄT

Pisklęta zaraz po wylęzieniu czy to naturalnem czy sztucznem nie potrzebują jedzenia, mając w żółtku dostateczny zapas żółtka wciągniętego przed wykluciem.

Należy je przedewszystkiem trzymać w cieple, aby dobrze się wygrzały, wypoczęły i dokładnie strawiły pokarm, z jakim na świat przychodzą.

Wielu hodowców twierdzi, że potrzeba na to najmniej 48 godzin

czasu, inni dowodzą, że okres ten jest zbyt długim.

W każdym wypadku konieczna jest osobista obserwacja hodowcy. Jeżeli kurczęta bardzo silne, żwawe, wykazujące wiele sił żywotnych, głośno piszcząc wybiegają z pod kury czy zamknięcia, w jakim przebywają i dziobiąc się wzajemnie okazują chęć spaceru i jedzenia, to można, nie pilnując

się ściśle zegarka, nakarmić je wcześniej.

Przy naturalnem wylęganiu, to jest wtedy, gdy kurczęta wysiadwane są przez kwokę, należy ją zaraz po wylęzieniu wszystkich kurcząt zdjąć z gniazda, nakarmić i napoić, zużyta starą słomę wyrzucić, a nasłać świeżej i miękkiej albo dobrego siana i podłożyć kurczęta pod kurę, pozostawić ją w gnieździe w spokoju.

Po sztucznym wylęczeniu należy przetrzymać kurczęta w suszarce specjalnie na ten cel urządzonej, ogrzewanej lampą lub gorącą wodą w blaszankach zamkniętych formy prostokątnej, na gwint zamykanych.

Zazwyczaj pod koniec drugiego dnia po wykluciu następuje mały spacer połączony z pierwszym karmieniem. O ile kurczęta znajdują się pod opieką kwoki, kura sama je nauczy jak pobierać pokarm. Przy sztucznym wylęganiu troskliwa hodowczyni musi im matkę zastąpić, pokazując wielokrotnie stukaniem palca w którym kierunku mają zwracać swoje dziobki.

Jako pierwsze pożywienie można dać kaszkę pszenną, gryczaną lub bułkę drobno pokruszoną, kaszę jaglaną sparzoną ukropem, a następnie w gorącym piecu wyprażoną, aby była miękka lecz zupełnie sypka. Jako napój świeża woda, albo mleko słodkie, to ostatnie powinno być dość często zmieniane, a naczynie w którym się podaje, często myte, aby nie kwaśniało, bo podkwaśnione a nie zsiadłe może wywołać rozstrój żołądka. W korytku lub na płaskiej miseczce postawić z boku drobnutko utłuczone skorupki od jaj, drobno utłuczony węgiel drzewny z czystym piaskiem.

Kurczętom niezmiennie smakuje wszelka zielenina, dawać im więc młodziutką, delikatną i miękką trawkę (dobrze jest w tym celu posiać owies) dalej młode listki pokrzywy, seradeli, koniczyzny, szczypiorku, a w trzecim tygodniu życia sałatkę, która zbyt wcześnie podawana wywołuje często biegunkę.

Ogół gospodyń żywi małe kurczęta jajami gotowanymi na twardo.

Najnowsze badania nad racjonalnym żywieniem kurcząt (Instytut Naukowy Gospodarstwa Wiejskiego w Puławach) wykazały — że pokarm ten jest dla nich ciężko strawny, a przytem zbyt kosztowny. Wypadnie taniej i łatwiej bywa przyswajany przez organizm tak zwany „serek jajeczny“, który się sporządza w sposób następujący: 1 szklanek mleka i dwa całe jaja rozbić i razem wymieszać postawić na ogniu, aby się ścięło, następnie odcedzić serwatkę, lekko wycisnąć, przemieszać z bułką tartą lub drobną kaszką i dawać kurczętom do jedzenia.

W pierwszym tygodniu żywi się kurczęta co 2 godziny, w drugim i trzecim 5 razy na dzień, wreszcie po czterech tygodniach wystarcza czterokrotne żywienie, aż do dwóch miesięcy i wtedy dawać można paszę już tylko trzy razy

na dzień w regularnych odstępach rano, w południe i wieczorem.

Dla lepszego rozwoju kości dawać należy do jedzenia np. do serka jajecznego trochę mączki kostnej lub szlamkredy, licząc łyżeczkę na 15 sztuk, dwa razy na tydzień.

Ostatnie pożywienie, jakie dostają wieczorem na noc, powinna stanowić sucha kasza jaglana, pszena, albo gryczana, starszym po 4-ch tygodniach można dawać całe ziarno.

Od szóstego tygodnia przyzwyczajając należy powoli kurczęta do takiej paszy, jaką dostaje drób dorosły t. j. okopowe, kartofle, marchew, buraki — nie żałując przytem ziarna oraz przedewszystkiem pokarmu zawierającego duże ilości białka, jak nabiał t. j. twaróg mleko tak słodkie jak i zsiadłe, byle by nie podkwaśniałe, pełne czy odtłuszczone, odpadki mięsne mielone, krew świeżo ugotowaną z rzeźni lub suszona, robaki, chrabaszcze, poczwarki, dżdżownice; pasze mineralne jak kości mielone, utłuczone skorupki od jaj, w których znajdują się sole wapienne tak bardzo potrzebne do odbudowania kości i piór.

W czasie pierzenia, kiedy kurczęta są słabsze, dla wzmocnienia i szybszego porostu piór dawać wodę do picia z rozpuszczonym siarczanem żelaza w ilości 4 gramy na litr.

Na wiosnę w maju lub w czerwcu w dni chłodniejsze, dżdżyste do stają kurczęta często biegunki, która jest zaraźliwa.

Objawia się najpierw bardzo silnym rozstrojem żołądka, brakiem apetytu, kurczątko przymykając oczy piszczy rozpaczliwie i żalostnie, wstrząsane bólami wewnętrznymi, pióra zjeżone i pozlepiane od nadmiernego potu. — Dawać należy wtedy lekarstwo, którego przepis poniżej podaję: 1 gram bizmutu $\frac{1}{2}$ grama benzonaftolu i $\frac{1}{2}$ grama tannalbiny, kulkę masła wielkości

dużego orzecha włoskiego, łyżeczkę dobrej maki pszennej, wszystko to razem ugnieść, doskonale wymieszać tak, aby potem z tej masy robić pigułeczki dla małych wielkości ziarnka pieprzu, dla większych wielkości ziarnka grochu i trzy razy na dzień po jednej pigułce dawać do połknięcia.

Oczywiście dla większej ilości kurcząt proporcję tę należy w odpowiednim stosunku powiększyć.

Sposób to wypróbowany i skuteczny. W. B.

Przepisy gospodarskie



SOKI OWOCOWE, (syropy)

Sok malinowy zwyczajny. Maliny leśne, gdyż są aromatyczniejsze od ogrodowych, pognieść na misce drewnianej łyżką, zalać wodą, aby objęło tylko i postawić na noc do piwnicy lub lodowni. Z rana sok cały wycisnąć przez worek flanelowy, dać postać godzin parę, aby męty na dnie osiadły. Sok zmieszać, dodać na każdy litr soku, kilo cukru i kawianą łyżeczkę soli cytrynowej, (kwasku). Zagotować na bardzo silnym ogniu, starannie zszumować, odstawić na mniejszy ogień i smażyć aż sok się stanie przezroczystym. Na każdy litr gotowego soku, dodać jedną pastylkę benzoesu, rozpuszczonego w łyżce gotowanej wody. Syrop można ostudzić w miednicze, w której się smażył, przez co zachowuje ładny kolor, lub też przelać do fajansowego, czy porcelanowego naczynia. Gdy zupełnie ostygnie, wlać do suchych butelek, zakorkować szczelnie osmolić, lub zalakować korki. Trzymać butelki leżące, aby korki nie przysychały i aromat soku się nie ulotnił. Smażyć ten sok też należy prędko, gdyż przez długie smażenie aromat ginie.

Syrop malinowy orzeźwiający. Maliny, w miarę, jak je można nabyć lub zebrać, ugniatać najstaranniej drewnianą łyżką i składać na słonecznym oknie, słój przykrywać talerzem, a gdy się zupełnie wypełni zawiązać woskowym papierem nakłutym grubą igłą. Po paru tygodniach gdy maliny zupełnie zbledną i wypłyną na wierzch,

DR. MED.

J. ŚWITALSKA

Choroby skórne, kosmetyka,
wener.

Wyłącznie dla kobiet od 5—7.

KRUCZA № 31, mieszkania 3.

Telefon 102-77.

a fusy i męty osiada, —czysty, klarowny sok zmieszać, na każdy litr soku wziąć kilo cukru, cukier ułożyć w miedniczkę, zalać sokiem, zagotować na silnym ogniu, zszumować, potem gotować jeszcze minut dziesięć; na każdy litr soku włożyć pastylkę benzoesu, rozpuszczoną w łyżce gotowanej wody. Sok natychmiast odstawić, ostudzić i zlewać w czyste, suche butelki, zakorkować mocno, osmolić i trzymać szybkami w dół w suchym piasku w piwnicy. Ten sok jest kwaśniejszy od innych, jest więc odpowiedni do picia z wodą w upały, jest natomiast mniej od innych aromatyczny.

Korespondencje działu praktycznego

Pani A. Z. z Małopolski.

Do przeniesienia deseni na ciemny materiał używa się kalki białej, albo żółtej, którą można kupić w każdym sklepie z przyborami rysunkowymi. Kalkuje się jak przez kalkę niebieską.

Pani M. L. z Krasnegostawu.

Są różne sposoby prania wełnianych trykotów. Najlepszym jest stanowczo następujący: wygotować korzeń mydlika, zcedzić i w ostudzonym do 26 st. najwyżej prać nie trąc, a wyciskając trykot. Zmieniać ten odwar dopóki zupełnie czysty nie będzie. Nie wyzymając wycisnąć z wody — rozłożyć na rozpostartem na stole prześcieradle wyciągając wzdłuż lub w szerz według potrzeby, nakryć drugim prześcieradłem i tak suszyć po woli. — Po wyschnięciu uczesać szczotką od czyszczenia. — Pod żadnym pozorem nie używać do prania takiego materiału ani mydła ani gorącej wody bo żółknie i skurczy się. — Można też prać taki materiał na sucho czyli chemicznie — co ze względu na zastąpienie się jest bezpieczniejsze. Paloną magnezję zarobić benzyną na gęste ciasto. — Ciastem tem posmarować cały materiał i zostawić do wysuszenia. — Skoro wyschnie wyczyścić i wytrzeć. — Czynność tę powtarzać dopóki materiał zupełnie czystym nie będzie.

P. Marji N. z Głębowic.

W sprawie dzieci zechce się Pani zwrócić do Koła Pracy Kobiet — Kredytowa 16 — w Warszawie, które prowadzi przytulki i bursy.

* * *

Donosimy naszym Czytelnikom, że Koło Miłośników Ogrodnictwa organizuje specjalne wykłady, połączone z ćwiczeniami praktycznymi z dziedziny przetwórstwa owocowego. Kurs będzie podzielony na dwa cykle, letni i jesienny z uwzględnieniem okresu dojrzewania poszczególnych rodzajów owoców i warzyw.

Cykl pierwszy obejmie ogólne wiadomości z mikrobjologii i procesów fermentacji, dział win jagodowych, suszenie owoców i warzyw, przetwory z soków owocowych t. j. soki, galarety, napoje bezalkoholowe oraz konserwy.

Kurs trwać będzie od 22 do 27 czerwca i obliczony jest na sześć dni wykładowych po 4 godz. dziennie łącznie z ćwiczeniami praktycznymi.

Wykłady i ćwiczenia odbywać się będą w pracowniach Zakładu Fermentacji i Produktów Spożywczych Politechniki — Polna 3 oraz

OSZCZĘDNA GOSPODYN
ODŚWIEŻA LETNIE SUKNIE,
BLUZECZKI i t. p. W ZIMNEJ
WODZIE, TYLKO

BRAUNSA barwnikami „WILBRAFIX“

Do nabycia w składach aptecznych
i składach farb.

TABELKA przeciętnych miar

Wielkość	obwód piersi	pas	obwód bioder	dług. rękawów	dług. spódnicy
I	84	64	96	34	75
II	96	68	105	37	85
III	102	72	110	39	95
IV	114	85	120	40	100

Przy zamawianiu trzeba wymienić wielkość (I, II, III lub IV) podług załączonej tabelki miar.

w Państwowej Szkole Ogrodniczej — Nowogrodzka 60. Wykładać będą p. St. Schönfeld, prof. W. Iwanowski, p. A. Mering.

Zapisy przyjmują i informacji udzielają: St. Higersbergerówna — godz. 1—4 pp., Hoża 37, tel. 101-00. Skład nasion B-ci Chomicz — Zgoda 8. Stowarzyszenie Zjednoczonych Ziemianek — Marszałkowska № 149.

Liczba słuchaczy ograniczona.

Opis sukien i robót do Nr. 24.

394. Sukaia z popeliny lila, przybrana białą plisą i kołnierzykiem.

395. Suknia z toile de soie, przybrana aksamitką i białym żabotem.

396. Suknia z crêpe marocain koloru cielistego, przybrana świecącą materją rudobronzową.

397. Płaszcz z czarnego rypsu, podbity białym crêpe de chine'em, kołnierz układany, w fałdy.

398. „Casaque“ z crêpe de chine'u kremowego, ozdobiony mierzka.

399. Sukienka z płócienka w paski, dla dziewczynki od lat 6 do 9.

400. Suknia z crêpe de chine'u koloru „brique“, przybrana aksamitką, dół aksamitny.

401. „Casaque“ z białoróżowego toile de soie, ozdobiony mierzkami.

402. Suknia z organdy, koloru cytrynowego, dół wykończony skośnymi pliskami.

403. Suknia z surowego jedwabiu w pasy, przód złożony w kontrafałdę.

404. Suknia z surowego jedwabiu w kratę, dół z crêpe marocain, koloru najciemniejszej kraty.

405. Sukienka dla młodej pani z crêpe de chine'u różowego, kołnierzyk i rękawy wykończone falbaneczką z walansjenki.

406. Strojna sukienka dla dziewczynki od lat 11 do 14 z crêpe marocain ponsowego i atłasu granatowego.

407. Sukienka dla dziewczynki od lat 4 do 9 z płócienka kremowego, pasek ponsowy.

408. Sukienka dla dziewczynki od lat 6 do 6 z markizety w drobną kratę.

409. Kostjum kąpielowy dla dziewczynki od lat 5 do 8 z satyny granatowej, przybrany ponsowym.

410. Kostjum kąpielowy dla małej dziewczynki z płócienka w paseczki, przybrany gładką satyną.

411. Kostjum kąpielowy dla małej dziewczynki z kremowego płócienka, przybrany czerwonym.

412. Motyw do serwety, lub pościelowej bielizny, koronka klockowa.

413. Brzeg chusteczki — koronka klockowa.